NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XVI ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny),
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23,** oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — **Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie:** za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 20 czerwca 1914.** **Nr. 25.**

Skazanie ord. Bispinga.

(Treść na str. 2).



Skazanie ord. Bispinga.

(Do illustracyi tytułowej).

Stanowiący przez parę tygodni sensacyę dla połowy Europy proces Bispinga skończył się nareszcie. Ordynat na Massalanach, który ostatni ze znanych śmiertelnych widział w dniu 21 kwietnia 1913 r. ks. Druckiego-Lubeckiego żyjącym w parku w Teresinie — wyrokiem sądu skazany został na cztery lata rot aresztanckich. Oskarżenie o morderstwo z premedytacyą sąd uchylił, uznał Bispinga winnym popełnienia zabójstwa w uniesieniu, oraz sfałszowania podpisów księcia na sześciu wekslach na sumę 300.000 rubli. Ta właśnie ostatnia okoliczność uczyniła wyrok tak stosunkowo surowym.

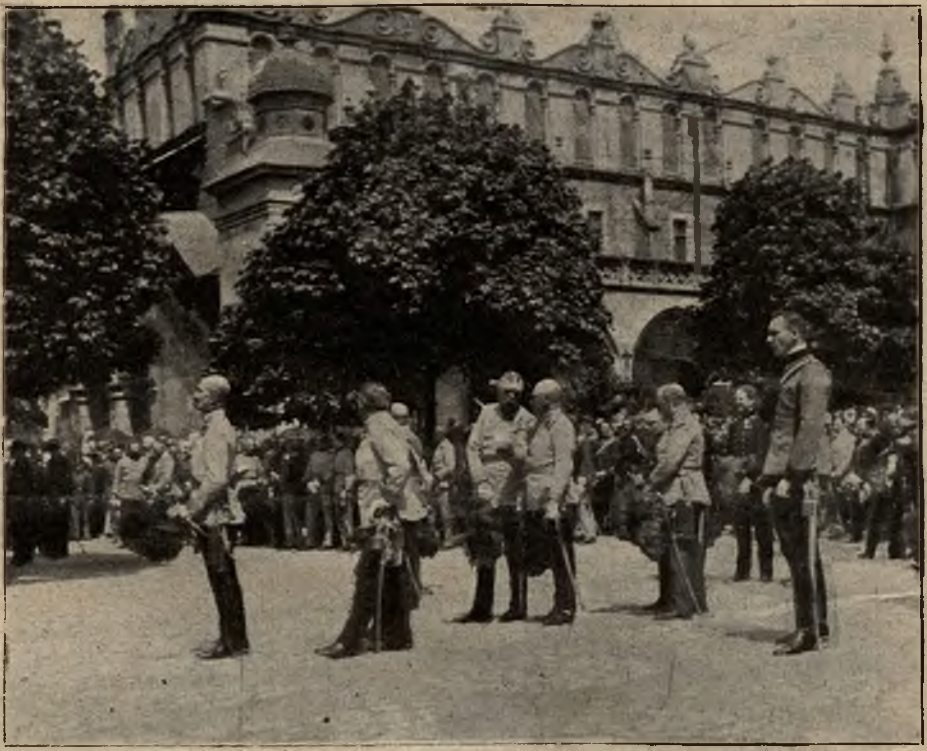
Wyrok ten pozbawia Bispinga szczególnych praw i przywilejów oraz praw do ordynacyi massalańskiej. Równa się zatem niemal śmierci cywilnej dla skazanego — o ile wyrok ten przez inne instancye nie zostanie zmieniony. Nie ulega bowiem wątpliwości, że obrona będzie apelować od wyroku sądu warszawskiego, a tem samem ciekawość publiczności za czas pewien otrzyma nowy żer sensacyi.

Ciekawość ta poniekąd słusznie była napiętą. Pewne wypadki są, zresztą przypadkowo, niejako soczewkami, skupiającemi promienie powszechnej w społeczeństwie ciekawości spraw cudzych, a i poczęści tajemnic społecznego bytu.



Poświęcenie sokolni w Trzebini: Banderya Krakusów na uroczystości.





Boże Ciało:

Procesya Bożego Ciała na Rynku krakowskim. (Fot. konkursowa Alberta Rottera, Kraków).

Jeneralicya z komendantem korpusu krakowskiego, jenerałem Böhm-Ermollim, na procesyi w Krakowie.

Poświęcenie sokolni w Trzebini.

Jeden z ruchliwszych oddziałów Sokoła na prowincyi — mianowicie istniejący od siedmiu lat Sokół w Trzebini obchodził w tych dniach uroczystość poświęcenia własnej siedziby. Na uroczystość tę przybyły drużyny sokole z Krakowa, Podgórza, Bochni i Chrzanowa, marszałek powiatu hr. Mycielski i wiele osobistości, rozpoczęło zaś ją nabożeństwo w miejscowym kościele. Poświęcenia dokonał ks. kanonik Wądolny z Krakowa, przyczem serdecznie przemówił, składając na ręce prezesa dr. Kazimierza Dobrzyńskiego serdeczne życzenia rozwoju oddziału.

Po poświęceniu odbył się w salach Sokoła wspólny obiad a następnie po południu festyn na boisku Sokola przy dźwiękach muzyki straży pożarnej z Trzebini. Uroczystość ta zakończyła się zabawą taneczną w salach Sokoła.



Poświęcenie sokolni w Trzebini: Uroczysty pochód z kościoła do Sokolni.

Boże Ciało.

Dorocznym zwyczajem uroczyście obchodzi Polska święto Bożego Ciała — procesyami — tj. publicznym hołdem, składanym obecnemu i ukrytemu w Hostyi św. majestatowi Bożemu. Wszystkie też miasta polskie urządzają wielkie procesye, a stary Kraków uroczystość tę celebruje od dawna niezwykle wspaniale. Wśród bicia wszystkich dzwonów w kościołach krakowskich, ruszyła po Mszy św. o godzinie 9 procesya z Wawelu na Rynek. Orszak procesyjny otwierało Tow. Dobroczynności, poczem szły liczne bractwa kościelne, dalej kroczyły wszystkie cechy krakowskie z insygniami, sodalicye i stowarzyszenia katolickie. Poprzedzany honorowym oddziałem żołnierzy 1 p. p. i długim orszakiem duchowieństwa zakonnego i świeckiego, ukazał się pozłocisty baldachim. Cała kapituła w ornatach otaczała ks. biskupa Nowaka, celebransa uroczystości, niosącego Monstrancyę. Za baldachimem postępowali przedstawiciele władz i miasta.

Przed pięciu ołtarzami ustawionymi w Rynku odczytali kanonicy Ewangelie św., poczem ks. biskup Nowak udzielał błogosławieństwa Monstrancyą. Przyklękły tłumy, pochyliły się sztandary, zagrzmiały trąbki na wieży i batalion 93 p. p. dawał salwę.



Szkoła nauk politycznych w Krakowie: Grupa słuchaczy i profesorów z dyrektorem prof. M. Rostworowskim w pośrodku.

Szkoła nauk politycznych w Krakowie.

Staraniem grona profesorów Wydziału prawniczego naszej Wszechnicy oraz wybitnych polityków czynnych i teoretyków powstała przed trzema laty przy Uniwersytecie Jagiellońskiem Polska szkoła nauk politycznych. Zadaniem szkoły jest podniesienie w naszem społeczeństwie wychowania polityczno-obywatelskiego, czego brak tak jaskrawo ujawniał się we wszystkich dziedzinach życia narodowego. Społeczeństwo nasze doby ostatniej ma szereg wybitnych uczonych, publicystów, artystów, fachowców, polityków etc. brak mu było tylko uświadomionych obywateli, przygotowanych do życia politycznego, a patrzących na zagadnienia polityczne pod kątem ogólno-narodowym, a nie skrajnie partyjnym lub biernie obojętnym. Otóż celem szkoły jest danie swym słuchaczom zasadniczych wiadomości wykształcenia obywatelskiego za pomocą wykładów o poziomie uniwersyteckim z dziedziny geografii, historyi, prawa politycznego i administracyjnego, polityki ekonomicznej, statystyki i skarbowości, ze szczególnem uwzględnieniem współczesnych, w trzech dzielnicach, stosunków polskich. Wykładają wybitni profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, a nadto do specyalnych przedmiotów Szkoła zaprasza znane powagi naukowe z innych dzielnic. Kurs szkolny trwa dwa lata, poczem abiturenci muszą poddać się trzem egzaminom dla uzyskania dyplomu z ukończenia. Zarząd szkoły spoczywa w energicznych rękach prof. uniw. dr. Michała Rostworowskiego i dwóch asystentów, dr. Bohdana Winiarskiego i doc. uniw. dr. Romana Rybarskiego.

W roku b. szkoła wypuszcza w świat po raz drugi swych elewów, których wraz z dyrekcyą i gronem profesorskiem przedstawia nasza illustracya.



Boże Ciało: Delegacya warszawskiego Tow. cyklistów podczas procesyi w Łowiczu.

Zjazd lekarzy prowincyonalnych w Lublinie.

Prowincya, zarówno w Królestwie jak w Galicyi, jest pod względem opieki lekarskiej upośledzoną. Naturalnym pędem rzeczy większość młodych lekarzy osiada w większych miastach, nie chcąc zrywać



Zjazd lekarzy prowincyonalnych w Lublinie: Grupa uczestników zjazdu.





Rozdawnictwo roślin w Warszawie:
Przemówienie wiceprezesa Tow. ogrodniczego p. Szaniora. 2500 dzieci zgłosiło się do Tow. ogrodniczego po rośliny

z „cywilizacyą" i tem wszystkiem, co ona daje człowiekowi, jako jednostce ludzkiej i zawodowcowi.

Ostatnie czasy przyniosły pod tym względem pewną zmianę na lepsze. Dowodem jest chociażby, że lekarze prowincyonalni w Królestwie urządzają już drugi z rzędu swój specyalny zjazd.

Zjazd ten, odbyty w Lublinie, zajmował się stanem hygienicznym naszej prowincyi, roli lekarza na niej nietylko medycznej, ale i społecznej, a nadto omówił szereg tematów z teoryi i praktyki medycyny — słowem zadanie swe ujął wszechstronnie i poważnie. Niewątpliwie też wpłynie on na polepszenie lecznictwa na prowincyi. Jakie zaś wzbudził zjazd szerokie zainteresowanie, dowodzi okoliczność że wzięło w nim udział około 220 osób.

Schronisko drukarzy warszawskich.

Drukarstwo jest zawodem, na zdrowie pracowników wpływającym bardzo ujemnie. Złe strony jego w części usuwa współczesne hygieniczne urządzenie pracowni, nie jest jednak w stanie usunąć ich w zupełności. W starości, jak u każdego zresztą robotnika, te nadszarpnięcia organizmu dają się weteranom drukarstwa odczuć boleśnie.

Dla takich właśnie weteranów drukarstwa zaczęło warszawskie zgromadzenie drukarzy budować schronisko w Anielinie pod Otwockiem. Budowa ta trwa już lat 7 — przyczyną tak powolnego jej posuwania się naprzód — brak funduszów. Z różnych one płyną źródeł, ale powoli. Wreszcie, dzięki ofiarowaniu 4 morgów gruntu przez p. Kurtza, właściciela Anielina, 3000 rbl. przez panią Lewentalową, oraz pewnej sumie, zgromadzonej przez członków stowarzyszenia drukarzy drogą dobrowolnych składek miesięcznych i rozkupieniu 5 rublowych akcyj — schronisko to stanęło częściowo. Na razie będzie to letnisko, w którem znajdą pomieszczenie drukarze-rekonwalescenci po ciężkiej chorobie, potrzebujący świeżego powietrza. Niedawno schronisko to zostało wykończone i poświęcone. Niewątpliwie, energia drukarzy doprowadzi jego budowę do zupełnego końca, aby mogło odpowiedzieć wszystkim swoim celom.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy grupę uczestników uroczystości poświęcenia zakładu przed budynkiem schroniska.



Schronisko drukarzy warszawskich: Uroczystość poświęcenia zakładu w Anielinie pod Warszawą.

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

3

— Znałyśmy ją obie przed ślubem, gdy starał się o nią pan Ramieński, dzisiejszy jej mąż, — zaczęła Natalcia.

— A, Ramieński!? — przerwał jej Niedzicki, — znam go, łobuz, ale niezły kompan.

— I ja go znam, — dodał Bachmacki, — trochę hulaka i wcale nie wiedziałem, że żonaty.

— W ładnej kompanii przebywacie panowie, — zadrwiła Natalcia, — ale posłuchajcie, jakie to ziółko dla żony.

— Ach, to są sprawy osobiste, a do tych się nie wtrącam, — rzekł z niesmakiem Bachmacki.

— O, tak, dla was ażeby był dobry przy kieliszku, ale jaki on mąż i ojciec, to już was nie obchodzi, — drwiła Natalcia, — a dla nas to drugie ważniejsze.

— To prawda, — potwierdziła Romcia, — cóż się stało z Bronią?

— Otóż oni oboje kochali się przed ślubem do szaleństwa... Pamiętasz, Romciu, jak ona go kochała?

— Doskonale! Nie chciała nic jeść, pić, zbladła, zmizerniała...

— A on strzelał się z wielkiej miłości.

— I zabił się? — uśmiechnął się Niedzicki.

— Niech pan nie drwi, — upomniała go Natalcia poważnie, — bo on naprawdę chciał się zastrzelić.

— Czy z zawiedzionej miłości? — spytał Bachmacki.

— Nie, już mówiłam, że oboje kochali się nadzwyczajnie, ale rodzice Brońci nie chcieli jej wydać za niego. Przeczuwali, co to za ptaszek, a Brońcia miała w posagu dwadzieścia tysięcy koron.

— No, suma niewielka, — zauważył Bachmacki, — zaledwie starczy na buciki i kapelusze.

— Niech mi pan nie przerywa... Otóż Brońcia po prostu zmusiła rodziców i pozwolili. Z początku nie rozłączali się ze sobą, oboje wpatrzeni w siebie, zakochani, że ich pokazywano sobie palcami na Plantach, bo szli jak ślepi i błędni. Aż po kilku miesiącach pan mąż wyfrunął z domu, nie bywał na obiadach, przychodził nad ranem. Niby to zajęty, bo założył dom handlowy, i żonę zaniedbywał coraz więcej. A gdy urodziła się im córeczka, on jest tylko gościem w domu. I tak skończyła się ich gwałtowna miłość!

— Hm... ona nie umiała go przywiązać do siebie, — zauważył Niedzicki.

— To nie była prawdziwa miłość, ale słomiany ogień namiętności niskiej, — dodał sentencyonalnie Bachmacki, — miłość oparta na harmonii dusz trwa wiecznie.

— Już my znamy to wasze: „wiecznie", — zaśmiała się Natalcia, — u was wiecznie trwa tak długo, póki ona jest świeża i młoda, a po pierwszej zmarszczce kończy się ta wieczna miłość.

— O, nie ja! — zawołał Niedzicki, wpatrując się w Natalcię, — kocham stale i wiernie.

— Ja nie lubię przysiąg, ale gdy raz pokocham, to na zawsze, — rzekł z powagą Bachmacki.

— Dobrze, dobrze, — zaśmiała się Natalcia wstając, — może kto temu uwierzy, ale nie ja... Idę już, Romciu, czy nie pójdziesz z nami?

Ona miała wprawdzie wielką ochotę przejść się, ale jak tu wyjść w takim kapeluszu? Odpowiedziała też stanowczo:

— Muszę czekać na męża, nie mogę.

— Ależ, Romciu, odprowadź nas tylko do rogu ulicy, spotkasz przecież twego męża i pana, gdyby zechciał przyjść, — zachęcała Natalcia.

— Nie, nie mogę.

— Co za ceremonie! — udawała niezadowolenie Natalcia, — weź kapelusz i chodź!

To mówiąc zbliżyła się do szafy, w której był kapelusz, co widząc Romcia podbiegła szybko, zamknęła szafę i stanęła przed nią, mówiąc gniewnie:

— Nie pójdę!

— Pokaż przynajmniej twój kapelusz, — śmiała się Natalcia, — zobaczymy, że jest ubrany piórami.

— Jaki jest, to jest, ale ja nie mam kapelusza na pokaz.

— Jeśli nie, to nie! Kiedyż, Romciu, przyjdziesz do mnie?

— W tych dniach.

— Czy w kapeluszu? — zaśmiała się, — bo może nie zechcesz go pokazać.

— W jakim kapeluszu, obaczysz.

— Czy masz nareszcie nowy?

— Mam, — powiedziała twardo ze względu na obecność dwóch panów.

Pożegały się najserdeczniej, a Romcia wróciwszy do pokoju, zapaliła lampę i usiadła smutna w rogu kanapki, rozmyślając z goryczą o mężu i o swym niedostatku.

Bachmacki przysunął sobie krzesło do niej i spytał miękkim, współczującym głosem:

— Pani Romciu, dlaczego pani smutna?

— Ach, mam swoje zmartwienia, — westchnęła.

— Jakie? Niech mi pani powie, wszystko zrobię, ażeby je usunąć.

— To się tak mówi, — uśmiechnęła się, — jakże podobała się panu dzisiaj Natalcia?

— Jak zwykle... ależ chwaliła się swym kapeluszem, — zaśmiał się, — i trochę dokuczała pani.

— Trochę? — uśmiechnęła się ironicznie, — przez cały czas drwiła ze mnie i z mego kapelusza. Czy nie zauważył pan, że nawet sama chciała go wyjąć ze szafy, ażeby mnie ośmieszyć.

— Tak, to zauważyłem, ale dlaczego pani nie pokazała sama?

— Bo jest niemodny i stary, — wybuchnęła rozżalona.

— To najmniejsza rzecz — zaśmiał się, — nowy można zawsze kupić.

— Ale trzeba mieć pieniądze, — powiedziała rozdrażniona i zawodem doznanym od męża, a może jeszcze bardziej drwinami Natalci i jej pięknym, modnym kapeluszem.

— Ach, rozumiem... pan Winecki jest oszczędny dla żony, ale przecież pani może zrobić małe oszczędności domowe i na przekór mężowi wystroić się w nowy, piękny kapelusz.

— Zanim oszczędzę, minie wiosna i zmieni się moda, — westchnęła z miną smutną.

— I na to jest sposób. Niech mi pani zrobi tę łaskę i pożyczy odemnie, a odda mi pani za kilka miesięcy.

— Nie mogę, to nie wypada i nie wspominaj mi pan o tem, — powiedziała surowo, a swoją drogą uśmiechała się jej ta myśl, że wbrew woli męża będzie miała kapelusz i zadziwi Natalcię.

— Da mi pani wielki dowód przyjaźni i zaufania, gdy raczy pani pożyczyć u mnie tę drobnostkę.

— O, to nie drobnostka! Możliwy kapelusz kosztuje drogo. Mój zeszłoroczny kosztował czterdzieści koron.

— Tylko?... Sądziłem, że drożej... I chce pani, czy nie, pożyczam pani pięćdziesiąt koron... odda mi pani, kiedy zechce, — dostał pugilares, wyjął pieniądze i położył na stole.

— Nie! Nie! — protestowała, ale więcej już dla formy, pokusa była zbyt silna, nie banknot bowiem pięćdziesięciokoronowy widziała na stole, lecz upragniony kapelusz fasonu najmodniejszego. Obliczała w myśli, że jeśli codziennie oszczędzi koronę, a to jest możliwe, bo przecież nie będzie dogadzała mężowi po tem, co jej zrobił, oszczędzi pięćdziesiąt koron w niecałe dwa miesiące i zwróci Bachmackiemu.

— Rozumiem wzdraganie się pani, — przemówił głosem miękkim, — pani dusza taka czysta i wzniosła nie może się pogodzić z materyalizmem świata, ale są konieczności życia i to w niczem nie ubliża pani, że czasem trzeba tym koniecznościom uledz. Jestem pewny, że pani ma niechęć do obowiązków żony... do liczenia się z kucharką... do pamiętania, co mąż lubi, a czego nie lubi, a jednak ulega pani. I tu zachodzi coś podobnego. Pani nie lubi długów, zobowiązań; w tym wypadku jednak pani nie zaciąga długu, lecz czyni mi łaskę, przechowując te pieniądze u siebie.

— O, z pana kusiciel, — zaśmiała się i spojrzała mu zalotnie w oczy, — co mam robić? Boję się, a jednak ulegam namowom pana... Węzmę, ale pod warunkiem, że nikt, ale to nikt nie będzie o tem wiedział.

— Mogę przysiądz pani na wszystko, co najświętsze, że prócz nas dwojga nikt się nie dowie o tem... a nawet ja już zapomniałem, — wziął jej rękę, pocałował i trzymał w swojej, nie szczędząc uścisków delikatnych.

Marcinowa otworzyła drzwi kuchenne, a Romcia szybko schowała pieniądze leżące na stole.

— Czy przygotować kolacyę dla pani? — spytała z chmurną miną, stając w drzwiach saloniku.

— Sama powiem... zaczekam na pana.

Marcinowa odeszła, trzaskając drzwiami za sobą, co Romcia starała się wytłómaczyć gościowi mówiąc:

— Dobra z niej służąca, ale gniewliwa czasami, — i z obowiązku gospodyni dodała: — a może pan pozwoli herbaty?

— Zostałbym najchętniej, ale ze względu na panią Szabelską i pana Niedzickiego muszę iść.

— Z ich powodu? — zdziwiła się, — czy macie się spotkać?

— Ależ nie! Tylko obawiam się plotek, któreby mogły zrobić pewną przykrość pani, a tego chcę zawsze unikać. I tak, pani Szabelska robiła niesmaczne aluzye do nas, chociaż jesteśmy niewinni, jak dzieci.

— Jaki on delikatny i uważny, pomyślała, inny skorzystałby z tego sam na sam, zostałby dłużej, a przecież mąż może wrócić, i pewno krzywiłby się na taką wizytę. Już miała wyrazić mu uznanie, ale przyszło jej na myśl, że będzie lepiej wyglądało, gdy mając taką czystą i wzniosłą duszę, okaże lekceważenie dla plotek.

— Co mnie obchodzą gadania innych, jeśli jestem niewinna? Wszyscy wiedzą, jak kocham męża, i nikt nie śmie mnie podejrzywać... Zostań pan.

— Nie mogę. Pani, jak lilia czysta i biała, ale czy to wina lilii, gdy ją ktoś obryzga błotem? — patrzał w nią rozkochanemi oczyma. — Idę, a kiedy się spotkamy?

— Nie wiem; może pan zajdzie do nas?

— O której porze? Jaki jest porządek dnia u pani?

— Mąż idzie rano na budowę i wraca o pierwszej na obiad. Ja zajmuję się gospodarstwem, porządkami...

— I wychodzi pani przed południem?

— Rzadko kiedy.

— A po południu?

— Mąż śpi do trzeciej i znów idzie na budowę, potem wraca, czasem idziemy na spacer, do teatru i koniec dnia.

— Już wiem... jeżeli pani pozwoli, to jutro będę około piątej.

— Jutro?... Nie wiem, czy będę w domu.

— A do kościoła chodzi pani?

— Co niedziela z Natalcią, a potem spacerujemy po rynku.

— Bardzo dobrze, — uśmiechnął się, — pojutrze niedziela i obaczymy się w południe. Moje uszanowanie, — całował jej rękę, wpatrując się w jej oczy, — i do widzenia!

— Do widzenia.

Romcia została w saloniku i słyszała cichą rozmowę w przedpokoju z Marcinową, która żegnała Bachmackiego, mówiąc uradowanym głosem:

— Całuję rączki!

Gdy drzwi wejściowe zamknęły się za Bachmackim, Romcia poszła do kuchni i spytała z uśmiechem:

— Co Marcinowa tak długo żegnała tego pana?

— Bardzo porządny pan, — chwaliła go, — zna się na grzeczności.

— Dużo dał Marcinowej? — zaśmiała się.

— Co dał, to dał, ale nie o to idzie, tylko, że uszanuje człowieka. Czy podać herbatę, bo szkoda węgla.

— Zaczekam na pana.

— Będzie jak z obiadem, — mruknęła.

Jaki on jednak elegancki, myślała Romcia o Bachmackim, nie żałuje dać służącej za podanie palta, nie taki jak mój mąż, który hałasuje, wymaga, a nie daje i grosza. Ten Bachmacki nie jest zwykły, przeciętny człowiek. Jak on ślicznie mówił o duszy! I właśnie ona tak mu się podobała! Podeszła do lustra i przyglądała się sobie z przyjemnością.

Wtem posłyszała zgrzyt klucza w zatrzasku i wbrew przepowiedni Marcinowej Winecki przyszedł wcześnie, a widząc żonę ubraną do wyjścia, z rozmysłu bowiem nie zmieniła sukni, przypomniał sobie swe przyrzeczenie i całując żonę w rękę usprawiedliwiał się z pozorem lekkomyślności:

— Wiesz, Romciu, miałem niespodziewane spotkanie z jednym budowniczym z Królestwa, przyjechał tu po pewne materyały, — mówił z uśmiechem, podziwiając siebie, że tak gładko umie tworzyć bajkę, — nie mogłem się wyrwać, chociaż pamiętałem, że mamy wyjść razem.

— A ja, jak widzisz, czekałam na ciebie do tej pory, — powiedziała z wymówką.

— No, nic straconego, pójdziemy kiedyindziej... masz herbatę? — zrzucał marynarkę, kamizelkę, włożył pantofle przygotowane w sypialnym pokoju.

Sama przyniosła herbatę dla męża i siebie, przysuwała mu kawałek zimnego rozbratla z obiadu, chleb i masło, a mając zamiar nakłonić go do kupna parasolki, kołnierzyków, rękawiczek i innych drobnostek, starała się być uprzejmą i zapraszała go tonem serdecznym:

— Jedz Jasiu!... Może ci nasmarować chleb masełkiem... masz też ulubiony rozbratel... i herbatę.

On zjadł już przy piwie „majową" bryndzę, której przyprawianiem, jako swą specyalnością, się chlubił, a przypomniawszy sobie twardy rozbratel z obiadu, rzekł tonem nieznoszącym opozycyi:

— Jeść nic nie będę, napiję się tylko herbaty, — poszedł do bufetu, wyjął flaszkę z rumem, spojrzał na nią pod światło i pokręcił głową: — Romciu! Dawałaś komu rum?

— Nie, albo co?

— Coś zanadto ubywa.

Żona znała tę pretensyę doskonale, codziennie bowiem, przy każdem wzięciu flaszki z wódką lub rumem powtarzał on podejrzenie, że ktoś napił się trunku.

— Ty wiesz, Jasiu, że nie piję z rumem, i cały dzień byłam w domu, nie ruszyłam się krokiem, — westchnęła, — chociaż miałam kilka spraw do załatwienia.

— Nie rozwódź się ze skargami... pójdziemy w tych dniach, — kosztował herbaty, słodził i znów dodał rumu.

Ona, chcąc mu się przypodobać, spytała:

— A interes z budowniczym był dobry?

— Z jakim budowniczym? — podniósł na nią zdziwione oczy.

— Z tym, z Królestwa.

— Z Królestwa? Co też mówisz? — nagle przypomniał sobie swe usprawiedliwienie, uśmiechnął się z łatwowierności żony, — no, wiesz, Romciu, mam tyle interesów na głowie, że na chwilę zapomniałem, a tak, tak... z nim interes nie jest skończony... dopiero jutro... — rad był, że znalazł słuszną przyczynę pozostania dłużej w mieście nazajutrz.

Ona przy pierwszej wzmiance o budowniczym z Królestwa nie dowierzała jego słowom, teraz była pewna, że ją okłamuje, ale chcąc mu zrobić przyjemność i mieć zupełną swobodę ruchów i działania, spytała zaciekawiona:

— A jaki to interes? — piła herbatę.

— Jaki? — zajął się pilnie obcinaniem cygara, aby się namyśleć, — a to wiesz, buduję kościół w Słomnikach i przyjechał po materyał, po robotników wykwalifikowanych.

— Kiedy macie się zejść?

— Cóż ciebie to tak bardzo interesuje? — spojrzał podejrzliwie na żonę.

— Chciałam wiedzieć, czy jutro wyjdziemy.

Pewno chce mnie naciągnąć na sprawunki, pomyślał, ale ja nie głupi; uśmiechnął się i rzekł:

— Mamy jutro wieczorem konferencyę, bo w dzień jestem zajęty.

I znów jutro go nie będzie, spochmurniała, ale rozpogodziła się na myśl, że jutro w nowym kapeluszu odwiedzi swą przyjaciółkę i może spotka Bachmackiego, a chcąc podtrzymać rozmowę spytała odruchowo:

— Czy zarobisz dużo na tym interesie?

To pytanie wzbudziło jego podejrzliwość, zmarszczył brwi i rzekł drwiąco:

— Dlaczego tak się dopytujesz? Czy czekasz na kogo? Czy masz się z kim spotkać?

— Jasiu! A tobie co? Czy mnie nie wolno, jako żonie, wiedzieć o twoich interesach?... A ty rzucasz na mnie jakieś podejrzenia? Czy dałam ci powód do tego? — mówiła rozżalona.

Napił się herbaty, otarł wąsy ręką i rzekł sentencyonalnie:

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Jakto!? — oburzyła się, — więc zamiast odwołać, usprawiedliwić się, ty jeszcze powtarzasz to samo!? O, ja nieszczęśliwa! — załzawiły się jej oczy, — czegóż ja się doczekałam? Ty robisz ze mnie jakąś kochanicę? I skąd? dlaczego? Co ja zrobiłam? — rozpłakała się na dobre.

— Czy ja ci to powiedziałem? — zdziwił się.

— A cóż znaczą te pytania twoje o schadzce? — zawołała rozdrażniona, — jakiem prawem przemawiasz tak do mnie?

To jej oburzenie było mu przyjemne, osądził, że żona jego jest zacności kobietą, gdy taką scenę mu robi o kilka słów.

— No, no, uspokój się, Romciu, tak źle nie myślałem, znam przecież ciebie.

— Otóż to nagroda za moją miłość, — żaliła się wśród łez, — za moją troskliwość o ciebie!?

— No, Romciu, już dobrze... pójdę z tobą, kiedy zechcesz, — westchnął rozczulony jej łzami.

— Nie potrzebuję! Nic nie chcę!

— Wiem, Romciu, że ci potrzeba to i owo, kupisz sobie... tylko nie płacz.

— Dobrze... zrobię to dla ciebie, że wyjdę z tobą, ale wpierw musisz mi powiedzieć, skąd ci się wzięły takie myśli o mnie?



Starała się być uprzejmą i zapraszała go tonem serdecznym.

— Hm... skąd? A bo to wiesz, dzisiaj na piwie, przy naszym stole zgadało się o żonach...

— O jakich żonach? — spytała z żywością, zapomniawszy o płaczu.

— Naturalnie o ślubnych, — zaśmiał się, rad ze swego konceptu.

— A znasz żony nieślubne? — spytała podrażniona.

— Bywają... ale nie o to idzie, tylko zgadało się o żonach. Pierwszy Orszycki zaczął narzekać na wydatki żonine, te kapelusze, koronki, buciki... tyle pociechy, że wierna i uczciwa.

— Ona się też stroi, nie tak, jak ja, — westchnęła.

— Już ja wolę ciebie, bo jak tylko on poszedł, pokazało się, że tam coś krucho z tą wiernością... Kręci się koło niej Marski.

— Ach, jacy wy nieznośni! Zaraz na kobiety! I co z tego, że Marski bywa? To przecież żonaty człowiek, gdzieżby romansował?

— Czy ty myślisz? — zaśmiał się, — że żonaty lepszy jest od kawalera? Jeden dyabeł! bo to wszystko zależy od kobiety. Jedna stanie sztorcem i ani rusz zbliżyć się do niej, a inna na to, jak mucha do miodu.

— I kto mówił o Orszyckiej?

— Po trochę wszyscy, ale pierwszy napadł na męża, niby na Orszyckiego, czy wiesz, kto?... No, zgadnij!

— Czy ja was znam?... Powiedz!

— Wiesz kto?... Szabelski!... Zarzucał mu, że żonie na wszystko pozwala, a stroi, a kupuje, a pieści... I komu to mówić? powiedziałem mu delikatnie, bo i kto pozwala Natalci na wszystko? Kto jej dogadza? Coś nie coś zażartowałem, a on przysięgał się, że jego Natalcia sama sobie szyje, stroi kapelusze, ubiera się, że prawie nic go nie kosztuje.

— A ty mu wierzysz? — spytała mocno zaciekawiona.

— Dlaczegóż nie? On przecież sam prowadzi rachunki, a to oszczędny człowiek. Wiem, że ona sama szyje suknie, widziałem przecież, kiedy u nich byłem, a pewno oszczędza i sama też sobie kupuje te fatałachy.

Odczuła Romcia w tych słowach niedomówiony wyrzut, że ona daje suknie do krawcowej i że jej stroje kosztują.

— Na gospodarstwie domowem nie można dużo oszczędzić, pewno Natalci mąż daje, tylko nie chce się chwalić.

— Jest się też czem chwalić? — zaśmiał się, — raczej wstydzi się, że taki pantofel.

— I to wszystko, o czem mówiliście? — spytała rozczarowana.

— Ale nie! Przyszedł ten Ramieński, wiesz już, kto taki?

— A tak, słyszałam. I co mówił?

— Dopiero on, niby to od niechcenia dowcipkował o żonach. Przypiął łatkę Orszyckiej i Marskiemu, potem coś niecoś o Szabelskiej i Niedzickim, potem o innych i pokazało się, że dziś żonom nie można wierzyć.

— Głupie gadanie! — oburzyła się Romcia, — to wy zdradzacie nas przy lada sposobności i myślicie, że my takie, jak wy. Niech ja tylko spotkam tego Ramieńskiego, już mu powiem słowa prawdy.

— Dajże spokój, Romciu, proszę cię. Zaraz powiedzą o mnie, że wszystko wygadam przed żoną, że jestem plotkarz.

— To niech ten Ramieński nie rzuca się na porządne kobiety.

— Ee, on tylko żartował, — zmusił się do uśmiechu, — ot, gadał, ażeby gadać. My przecież wiemy, że nasze żony są zacne i wierne.

— Wiecie? — drwiła, — a kto mnie pomawiał o jakieś schadzki?

— Ee, to tak sobie... Czy był kto u nas? bo widziałem jakieś kwiatki.

— Była Natalcia.

— Sama?

— Nie, przyszli z nią Niedzicki i Bachmacki.

— Cóż to? — zaśmiał się, — teraz ma aż dwóch aspirantów?

— Już zaczynasz? — zmarszczyła się, — zaraziłeś się od Ramieńskiego.

— To nie, ale sama przyznasz, że nie wypada młodej mężatce wodzić za sobą kawalerów.

— Opowiadali, że spotkali się przypadkiem na ulicy, a ponieważ Natalcia wie, że ja zawsze sama w domu, przyszła mnie odwiedzić.

— Wiesz, niech ona sama przychodzi ile razy chce, ale niech tu do mnie nie sprowadza swoich gachów.

— A tobie co szkodzi, że przyjdą?

— Nie chcę, ażeby fircyki bywali u mnie.

— Czy jesteś zazdrosny?

— Co to, to nie, ale nie lubię, ażeby obcy włazili do mego domu... No, dosyć na dzisiaj. Przynieś mi herbaty do łóżka, zmęczyła mnie praca.

II.

Szabelski przychodził do domu zwykle około ósmej wieczorem na kolacyę, a następnie szedł na „bombkę" piwa. Miał tam zastrzeżone swe miejsce przy stoliku, w towarzystwie zamkniętem swych znajomych i przyjaciół. O godzinie pół do dziesiątej wstawał od stolika i wracał do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

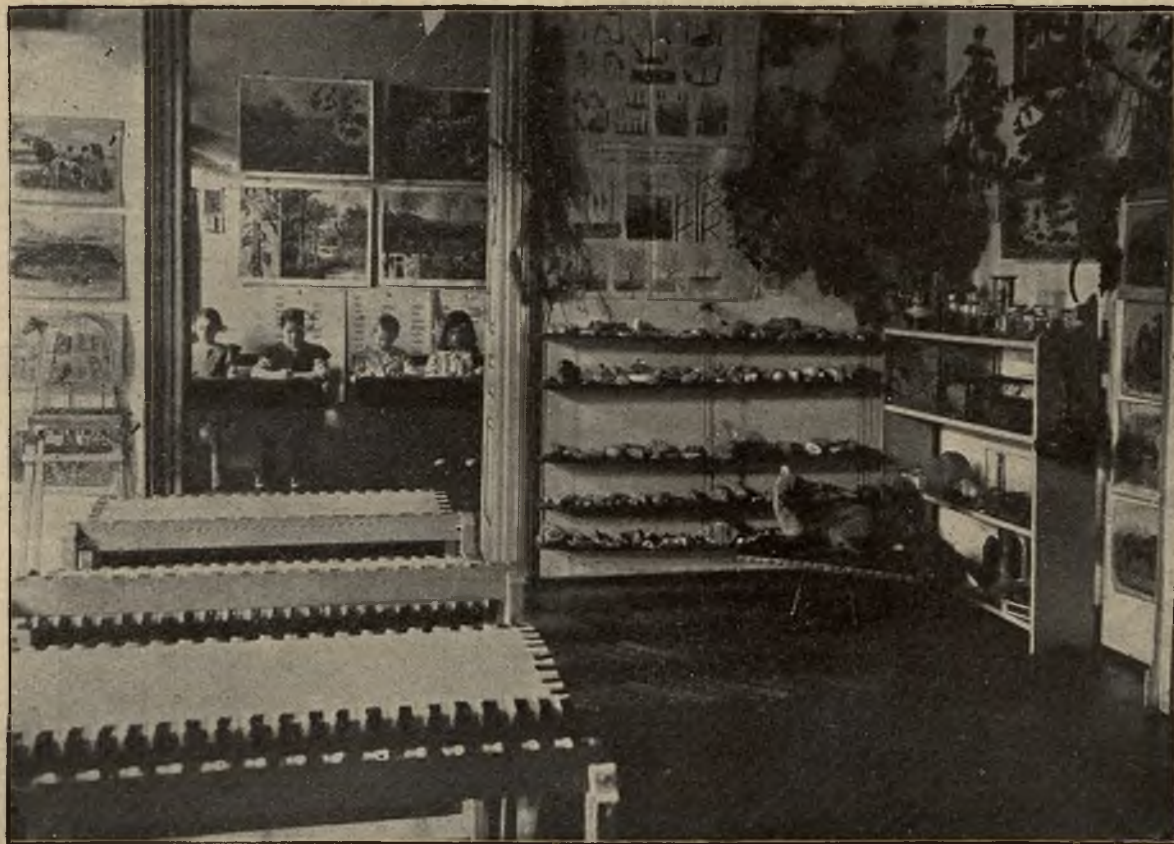
Jubileusz pułku.

W Stanisławowie stacyonowany pułk drągonów obchodził w końcu maja ciekawy jubileusz — 250-lecia swego istnienia. Historya jego jest wcale zajmująca, a datuje się od r. 1663, kiedy H. H. Garnier stanął na czele założonego wówczas oddziału kirasyerów. Z kolei zmieniał ten pułk swych właścicieli, względnie szefów. Byli nimi w ciągu tego czasu: hr. Nostitz, hr. Dünewald, Wetzhausen, ks. Krystyan Brunświcki, hr. Thurn-Taxis, de Viard (na ten czas przypada wyprawa pod Belgrad — 17 sierpnia 1717), hr. Hamilton, hr. Bernes, hr. Trautmannsdorf, hr. Harrach, bar. Wallish, ks. Karol Lotaryński, hr. Hargegg i ks. Wilhelm Brunświcki.

W r. 1867 pułk ten otrzymał teraźniejszą nazwę pułku ks. lotaryńskiego Karola V. Leopolda, popularnie zaś nazywają jego żołnierzy „żółtymi dragonami".

Uroczystość odbyła się z wielką paradą. Przybyli delegaci wojskowi z różnych stron Austryi, wielu wojskowych dygnitarzy. W ich obecności pułk wykonał piękną defiladę, później zaś odbyły się zawody hippiczne.

Nowoczesna szkoła.



Nowoczesna szkoła: Wystawa prac uczniów i uczenic w szkole koedukacyjnej p. Okołowiczówny w Krakowie.

Od kilku lat rozpoczęła w Krakowie (przy ulicy Pańskiej l. 5) pracę szkoła początkowa nowego typu prowadzona przez wytrawną wychowawczynię panią Okołowiczównę. Oparta na koedukacyi szkoła ta wychowuje młode pokolenia w wieku do lat 10 w sposób odpowiadający najnowszym pojęciom pedagogiki. Podstawową zasadą tego nowego prądu w wychowaniu jest uczenie dzieci w ten sposób, aby przedewszystkiem pracowały tylko w szkole, oraz aby czas nauki był jak najobficiej urozmaicany zajęciami jak slöjd, gimnastyka rytmiczna, wycieczki naukowe i t. p. Szkoła sama urządzona jest nadzwyczaj hygienicznie. Klasy obszerne mieszczą ograniczoną liczbę dzieci, gdyż przyjmuje ich się do jednej klasy nie więcej nad piętnaście. Umożliwia to baczny ich nadzór, oraz daje nauczycielce sposobność śledzenia rozwoju umysłowego dziecka codziennie, a tem samem ułatwia pedagogiczną nad niemi pracę. Wszędzie panuje wzorowa czystość. Dzieci w szkole noszą specyalne filcowe papucie, aby błota i kurzu ulicznego nie przenosić do sal szkolnych. Przed kilku dniami w szkole tej odbyła się doroczna wystawa prac i zeszytów uczniów i uczenic. Plon zebrany na niej był bardzo obfity, wskazujący, że nowoczesny sposób wychowania stosowany przez p. Okołowiczówne, daje doskonałe rezultaty.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy illustracyę, przedstawiającą jedną z sal wystawowych.





Oddział pułku stanisławowskiego w stroju z roku 1663. **Jubileusz pułku:** Oddział pułku stanisławowskiego w stroju z roku 1751.



Jubileusz pułku: Generalicya wraz z uczestnikami uroczystości wojskowej w Stanisławowie pod namiotem w czasie nabożeństwa. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

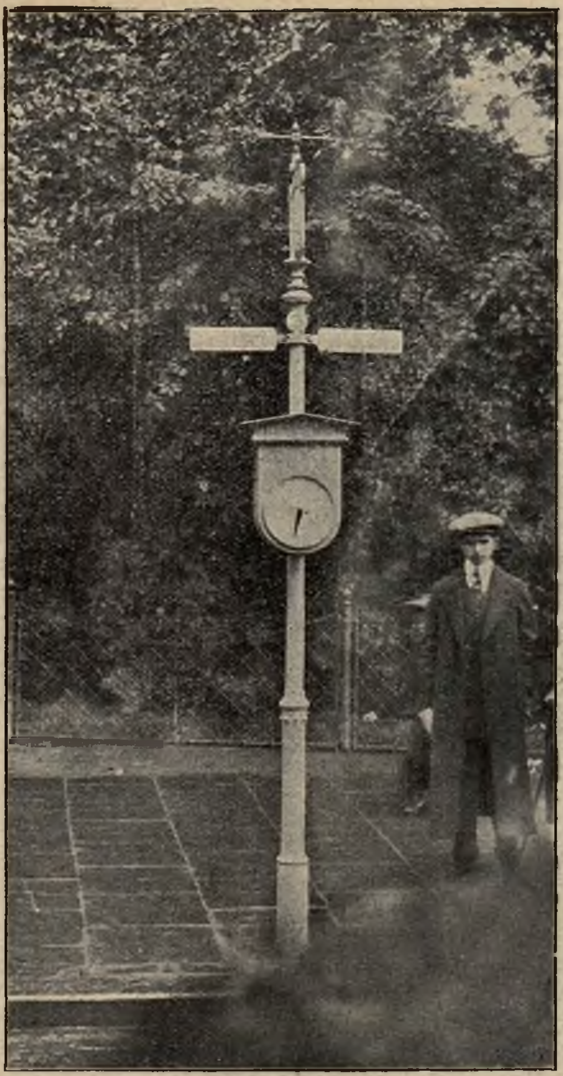
Paryżanie w Warszawie.

Gościnna stolica gościnnego kraju tj. Warszawa przyjmuje w ostatnich czasach najróżnorodniejszych gości — wszelkich narodowości i zawodów, wszystkim jednako chętna i uprzejma, a już przechodząca samą siebie i wrodzoną nam uprzejmość wobec Francuzów. Ci ostatni tak przysłowiowo „grzeczni", nie omijają też miłego miasta i kiedy tylko mają okazyę, przeważnie w podróży do Petersburga i Moskwy, nawiedzają gościnny gród syreni, pozwalając się podejmować. Bardzo grzeczni, *n'est ce pas?...*

W tych dniach też gościła Warszawa 34 przedstawicieli francuskiego świata ogrodniczego, którzy wracając z wycieczki do Cesarstwa, zawadzili o nią. Gości oprowadzali i przyjmowali członkowie tow. ogrodniczego. Zyskujemy na tem bardzo dużo. Wszystkie sfery mają możność zapoznawać się z prawdziwym paryskim — akcentem no i... apetytem. Po-



Paryżanie w Warszawie: Grupa gości francuskich.



„Wielki“ Kraków: Automatyczny zegar, wskazujący odjazd wozów co 5 minut przy zbiegu ulic: Siennej, Starowiślnej, Wielopole i Andrzeja Potockiego.

dajemy fotografie Paryżan na dowód, jak mało się różnią od nas — zewnętrznie — ale zawsze to Paryżanie!...

Uroczystość strzelecka we Lwowie.

W tych dniach obchodziła lwowska brać strzelecka uroczystość intronizacyi nowego króla kurkowego, którym na rok b. został p. Aleksander Bieniecki. Uroczystość ta wedle tradycyi rozpoczęła się nabożeństwem w katedrze, poczem orszak 42 powozów zabrał z domu nowego króla na strzelnicę, gdzie odbyła się ceremonia intronizacyi, którą zakończyła uczta, przy udziale prezydyum miasta oraz gości i rodzin członków Strzelnicy.

Illustracya nasza przedstawia nowego króla w otoczeniu marszałka I, p. Daniela Grzyba i II, Gustawa Kawczyńskiego oraz braci kurkowej.

„Wielki“ Kraków.

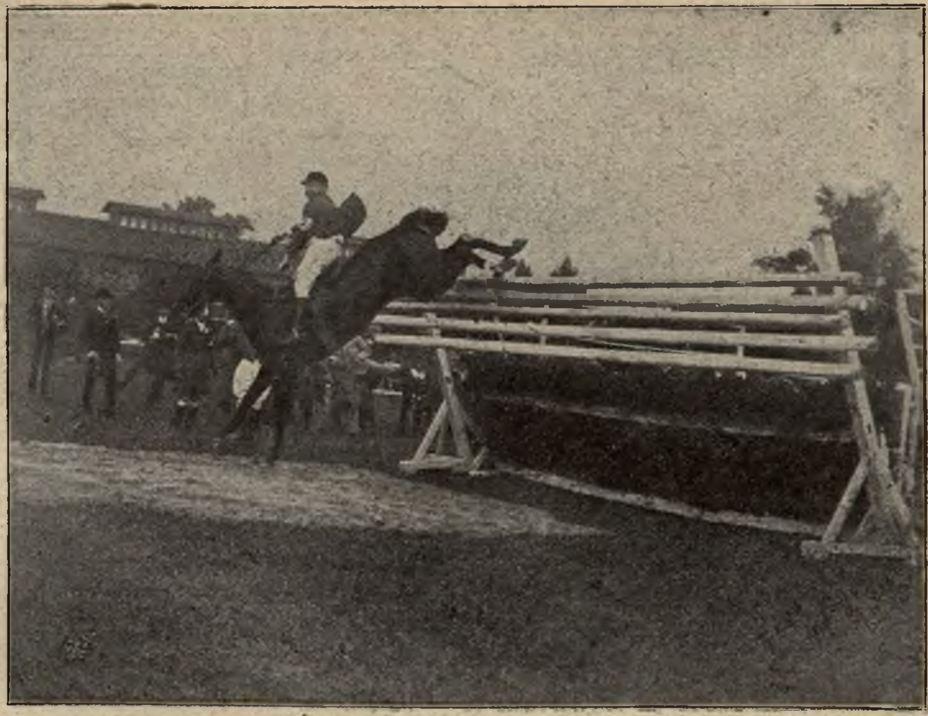
Oficyalnie wielkim jest już od lat paru, terytoryalnie obszar ma obecnie większy od Warszawy! (licząc wszystkie gminy, świeżo przyłączone i Podgórze) de facto zaś... Kraków pozostał sobą, t. j. malutkim, z wszystkiemi właściwościami środowisk drugiego rzędu. Podobno plotka, wypuszczona w Sukiennicach, obiega całe „rozszerzone“ miasto w ciągu kwadransa i ona jedna ma w Krakowie błyskawiczną szybkość, wszystko inne bieży w tempie



Uroczystość strzelecka we Lwowie: Grupa członków lwowskiego Tow. Strzeleckiego z nowym królem kurkowym p. Bienieckim w pośrodku.

(Fot. M. Münz, Lwów).





Pod znakiem konia:

Jedyna uczestniczka konkursu hippicznego w Warszawie, p. Janina Trzcińska, bierze przeszkodę.

P. Peretjatkowicz zdobywa rekord wysokości (2 m. 5 ctm) i I-szą nagrodę na konkursie hippicznym w Warszawie.

andante lamentoso. Podnieść jednak należy, że miasto emancypuje się usilnie i dość pomyślnie, wygląd jego zewnętrzny zmienia się, krygując się na wielkie centrum. Mamy wszelkie inwestycye jak: elektrykę, gaz, betony, telefony, gramofony, tramwaje i to dwóch typów, jedne mające szybkość pociągów towarowych na liniach górskich, drugie zaś są już całkiem moderne, obszerne, widne, szerokotorowe i szybko mknące po swych nowych liniach. Te ostatnie t. j. linie i tramwaje bodaj najbardziej przypominają „Europę" przybyszom z miast wielkich — są pożyteczną inwestycyą a przedmiotem chluby nowych obywateli podwawelskiego grodu, rodem z Dąbia, Zakrzówka, Dębnik etc. Ostatnio tramwaje pozyskały jeszcze jedną nowość t. j. zegary na słupach — automatycznie objaśniające na stacyi — przyjście następnego wozu. Jest to inowacya bardzo ciekawa i budująca, w czasie nudy oczekiwania pasażerowie mają urozmaicenie i dokładnie podany czas kiedy zaczną swą podróż. Podajemy fotografię tego zegara, który jest najświeższym symbolem istotnego „zwiększenia" się Krakowa.



Sport w Przemyślu: Moment gry pod bramką „Czarnych". (Fot M. Todt, Przemyśl).

Sport w Przemyślu.

Do najruchliwszych klubów sportowych prowincyonalnych należy bezsprzecznie przemyski „San", oddział sportowy Sokoła. Założony przed czterema laty, klub ten przez czas swego istnienia wykazuje stały rozwój we wszystkich prawie dziedzinach sportu. W zimie narty i saneczki, latem piłka nożna, wioślarstwo, koło, turystyka i lekka atletyka oto główne gałęzie sportów uprawianych przez młodzież przemyską zgrupowaną w „Sanie".

W roku bieżącym rozegrała pierwsza drużyna footballowa „Sanu" cały szereg matchów z drużynami klubów zamiejscowych. Ostatnio w oba dnie Zielonych Świąt gościł „San" w Przemyślu „Czarnych" ze Lwowa, z których drużyną I. B. rozegrał dwa matchy. Wyniki matchów dały dowód, że kluby





Sport w Przemyślu: „Czarni" ze Lwowa. Drużyna footbalowa „San". (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Kurs pisarzy gminnych: Grupa uczestników i kierowników kursu w Wadowicach.

lwowskie i krakowskie mają już obecnie groźnych przeciwników w klubach prowincyonalnych. Oba matche zakończyły się zwycięstwem „Sanu".

Pod znakiem konia.

Najstarszy i najprzyjemniejszy sport — jazda na koniu należy stanowczo do najniebezpieczniejszych, albowiem ciągle zależnym się jest od przypadku, jaki najwytrawniejszemu jeźdźcowi przytrafić się może. I w tem właśnie leży jego siła przyciągania, emocya, jakiej dostarcza zawodowym i przygodnym sportsmenom. Mimo setek ofiar jazda wierzchem nie przeżyje się, bo ma walory poważne, a nadto daje przyjemność bezpośrednią, czego nie wszystkie rozrywki dostarczyć są w stanie.

W obecnym okresie „końskim", bo on najwięcej w tym czasie absorbuje koła sportowe, wyścigami na wszystkich torach europejskich, podajemy szereg charakterystycznych illustracyj, oświetlających ten sport obustronnie.

Przedewszystkiem z naszych środowisk wymienić należy odbyty w tych dniach w Warszawie konkurs hippiczny. Przekonał on nas, że jazda wierzchem nie zanikła u nas, mając doskonałych zwolenników. Na konkursie tym jeden z jeźdźców p. Peretjatkowicz pobił wszechrosyjski rekord na skok wysoki, oznaczony na 1 m. 92 cm. P. Peretjatkowicz skoczył na swym wierzchowcu „Kingu", jak to pokazuje jedna z naszych illustracyi do wysokości 2 m. 05 cm., zdobywając pierwszą nagrodę 300 rubli i za rekord 1000 rubli, oraz żetony: srebrny i złoty.

Druga illustracya przedstawia dzielną uczestniczkę konkursu p. Janinę Trzcińską, która na swym „Pigeonie" poważnie konkurowała z panami.

Smutny zaś wypadek przypomina illustracya trzecia — mianowicie porucznika Ottona Steindla, który przy wypadku na wyścigach w Czerniowcach spadł i śmiertelnie się poranił.

Ostatnia wreszcie fotografia przedstawia ciekawy i oryginalnie pochwycony fragment konkursu hippicznego w Rzymie, przy którym koń poranił się groźnie, a jeździec zabił się na miejscu.

„Wieczory florenckie" na scenie.

„Teatr Niezależny" we Lwowie, próbujący śmiało różnych inowacyj w sztuce teatralnej, uscenizował niedawno słynne „Wieczory florenckie" Klaczki. Eksperyment to był ciekawy i uznania godny. „Wieczory florenckie" zawierające, jak wiadomo, prześlicznym językiem pisane dyalogi o sztuce średniowiecznej, są rzeczą, która się nie starzeje, ze względu na swe walory artystyczne. A tymczasem wśród współczesnego pokolenia uległy one pewnemu zapomnieniu.

Lepiej więc, że publiczność poznała ze sceny utwór zawierający myśli oryginalne i pięknie wypowiedziane, choć pozbawione akcyi — niż, gdyby jej podano jakieś sztuczydło, wprawdzie „ożywione" podle skleconą „intrygą", ale z wszelkiej myśli chemicznie wyprane. Zwłaszcza, że uczynienie zajmującym utworu tego rodzaju, co się Teatrowi Niezależnemu udało, wymagało od aktorów nieprzeciętnej inteligencyi i dużego opanowania sztuki słowa, obecnie nieco w teatrze zaniedbywanej. Pełne uznanie należy się kierownikowi teatru p. Godziembie-Wysockiemu za należyte artystyczne kierownictwo tego niezwykłego przedstawienia.



„Wieczory florenckie" na scenie: Przedstawienie „Wieczorów florenckich" w Teatrze Niezależnym we Lwowie. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

Kurs pisarzy gminnych.

Brak kwalifikowanych pisarzy gmin wiejskich utrudnia w wysokim stopniu urzędowanie władzom politycznym i administracyjnym a oprócz tego naraża naczelników gmin, którzy z urzędowaniem nie są obznajomieni na dotkliwe straty i kary. Pragnąc tym niedomaganiom zaradzić, urządziła wadowicka Rada powiatowa, powiatowy kurs dla pisarzy gmin wiejskich, na który zgłosiło się 12 kandydatów. Kurs trwał przez 30 dni z rzędu, a wykłady poruczono pp. J. Stopczyńskiemu, sekretarzowi tamtejszej Rady powiatowej, dr. K. Arztowi, komisarzowi powiatowemu starostwa oraz J. Borgiełowi, oficyałowi wydziału powiatowego. Po skończeniu nauki odbyło się uroczyste zamknięcie kursu połączone z nabożeństwem w kościele O. O. Karmelitów i egzaminem w obecności wicemarszałka p. L. Chrząszcza, członków Wydziału i Rady powiatowej. Wynik egzaminu był nadspodziewanie dobry, odpowiedzi kandydatów świadczyły, iż cały wykładany im materyał ustaw admnistracyjnych przyswoili sobie dobrze i wobec tego wszyscy otrzymali świadectwa.



Turniej szachowy we Lwowie: Uczestnicy turnieju podczas gry. (Fot M. Waydowicz, Lwów).

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

29

W jednej chwili ze stu żołnierzy angielskich i policyantów znalazło się na pokładzie okrętu i utworzyło szpaler wzbraniający przejścia. Kilku Europejczyków chciało protestować, ale przewaga była po stronie Hindusów, którzy zdołali się już przyzwyczaić do terroryzmu i arogancyi władz angielskich i w milczeniu oczekiwali końca rewizyi. Oddziałem policyjnym dowodził jeneralny szef policyi indyjskiej. Zamienił on kilka słów po cichu z kapitanem okrętu, który wykazywał mu wysłanie depesz telegrafem bez drutu dnia poprzedniego do Kalkuty.

— Ale do dyabła — mruczał szef policyi — gdzież oni być mogą! A Wiliam Perkins i jego towarzysz, poruszywszy tak ważną osobistość — nie zadali sobie tyle nawet trudu, aby przybyć na jego spotkanie! Lub może — a przypuszczenie to mogło być możliwe — udało im się we dwóch pochwycić zbrodniarzy, lub zbrodniarza, o którego obecności na okręcie zawiadomili władze? Uczynili to bardzo mądrze, ale nie bardzo zrozumiale, bo Wiliam Perkins nie chciał telegrafowi bez drutu powierzyć zbyt jasnych wiadomości i tym sposobem wywołać jakie niepotrzebne komplikacye w Kalkucie, i przywabić za wielki tłum na wybrzeże. Nie ułatwiłoby to wcale aresztowania zbiegów!

Wiliam Perkins więc zatelegrafował oględnie przez kapitana „Indiany".

— Przekonany jestem o obecności pewnych ludzi na okręcie! sprowadzić silną eskortę dla dokonania aresztowania!

Misya Wiliama Perkinsa znana była policyi angielskiej.

Szef generalny nie miał ani minuty wahania i udał się natychmiast na wezwanie. I on również doszedł do tego wniosku, że fakirzy nie mogli zbiedz lądem; mieli czelność powrócić do kraju, na okręcie wiozącym księcia Kiwani — w nadziei może, że uda im się go zamordować w drodze!

Ale wyśledzeni przez detektywów ze Scotland-Yard, ukryli się na okręcie. Wiliam Perkins i Johnnie mieli ich więc w rękach. Po obejrzeniu dokładnem okrętu szef policyi zdecydował się zejść na dół — lecz tam znalazł tylko tragarzy, zajętych wynoszeniem bagaży i skrzyń. Udał się więc do pałaczy, którzy niecierpliwić się już zaczynali tą przymusową niewolą i wyczerpani pragnęli jaknajprędzej znaleść chwilę odpoczynku. Lecz tu nie było Wiliama Perkinsa i Johnniego. Gdy cały okręt przetrząśnięty został, niepokój ogarnął szefa policyi.

A może fakirzy zdołali cicho i ostrożnie uwolnić się na zawsze od tropiących ich ajentów!?

W końcu szef zniecierpliwiony i rozczarowany kazał się zaprowadzić do kajuty zajmowanej przez detektywów, sądząc, że tam może odnajdzie jaki ślad, lub znak, który mu wyjaśni sytuacyę!

Znalazł więcej niż się spodziewał: Johnnie na łóżku spał, chrapiąc przeraźliwie, a Wiliam Perkins nie spał co prawda, lecz za to był w stanie zupełnej nieprzytomności umysłu. Takie przynajmniej było pierwsze wrażenie, jakie odniósł szef policyi.

Szarpnął za rękę Johnniego, lecz nie mógł się go dobudzić, a Wiliam Perkins nie był w stanie odpowiedzieć na żadne jego zapytanie. Miał wygląd człowieka oszołomionego — lub też szalonego.

Nagle szef policyi zrozumiał wszystko. Fakirzy nie ośmielili się dokonać zbrodni, ale potrafiwszy się tak znakomicie ukryć podczas trwania podróży, wsunęli się dzisiejszej nocy ostrożnie do kajuty detektywów i nalali do butelki wódki jednego z tych płynów, które potrafią unieruchomić człowieka na dłuższy czas! Ale teraz gdzie byli winni?

Szef policyi zastanowił się głęboko; był pewnym, że oprócz księcia i jego przybocznej eskorty, nikt więcej nie opuścił przed chwilą pokładu „Indiany". Pobiegł szybko na pomost, aby się dowiedzieć, czy później nie nastąpiło nowe wylądowanie pasażerów i rozkazał kapitanowi posunąć okręt na środek rzeki. Momentalnie rozeszła się wiadomość, że nie wypuszczą nikogo na ląd, aż po zapisaniu i przejrzeniu wszystkich pasażerów. Ale do tej rewizyi potrzebne były przenikliwe oczy Johnniego i Wiliam Perkinsa. Szef policyi powrócił więc do nich, prowadząc za sobą lekarza okrętowego. Ten nie umiał sobie wytłumaczyć stanu chorych. Zaaplikował silne środki przeczyszczające i odciągające, które znakomicie podziałały na Johnniego. Stan Wiliama Perkinsa był cięższy — jednak i on wkrótce przyszedł do siebie, o tyle, że mógł sobie zdać sprawę z położenia, a wtedy wpadł w rozpacz graniczącą z obłędem. Chciał sobie życie odebrać!... krzyczał, że nigdy nie powróci do Scotland-Yard! że jest shańbiony na całe życie. A przecież z jaką zręcznością pokierował całą sprawą, jak chytrze tym wściekłym Hindusom podstawił przynętę — tę trumnę lakową, na którą powinni byli się złapać. I złapali się początkowo, bo w Marsylii wsiedli na okręt, wiozący detektywów; tylko okazali więcej przebiegłości od nich, bo potrafili przez cały czas trwania podróży nie zdradzić swojej obecności. A zamach dokonany na doktorze Gewolskim, był dostatecznym dowodem ich złych zamiarów i chęci zemsty.

Podniecony tymi myślami Wiliam Perkins, zerwał się, wybiegł z kajuty i jak szalony zaczął latać po pomocście „Indiany" zaczepiając pasażerów, zaglądając do wszystkich kątów. Wtem zabrzmiał okrzyk Johnniego. Wiliam Perkins skoczył do niego, sądząc, że tenże uczynił jakie ważne odkrycie. Ale Johnnie zauważył tylko brak trumny lakowej, która jako należąca do bagaży księcia Kiwani, zniesiona została z pokładu na ląd. A może wstrętne to białe pudło urządziło im znowu tę sztuczkę! Wiliam Perkins wzruszył ramionami na tę uwagę Johnniego. Jeszcze wczoraj wieczorem wpadł na tę samą myśl i nie zaniechał zbadania ciężarów skrzyni i zamków. Pieczęcie były nietknięte, a on miał przecież w kieszeni klucze od zamków! Nie! Nie! To nie tutaj należało szukać winnych! Przypuszczenie to mogło się okazać prawdopodobniejsze, gdyby wylądowanie nastąpiło w nocy! — ale w biały dzień! w obecności gubernatora i straży policyjnej, tworzącej szpaler na wybrzeżu!? Gdzież znowu!

Wiliam Perkins wylał cały swój zły humor na całą ludność „Indiany" która musiała się poddać najściślejszej rewizyi. Wszystkie osoby pojedyńczo wypuszczano na ląd, zbadawszy przedtem ich papiery i paszporty i po zapisaniu ich przez komisarza okrętowego. Miało wylądować dwieście dwadzieścia osób, wszystkie znane i zapisane — i rzeczywiście wylądowała akuratnie ta sama liczba.

Następnie raz jeszcze przejrzano drobiazgowo bagaże z każdej skrzyni, jaka, według orzeczenia Wiliama Perkinsa, okazała się za ciężką — odrywano wieko i wyjmowano większą część zawartości. Cała ta praca okazała się bezowocną. Noc już zapadła, gdy ukończono tę mozolną pracę. Trzeba było skłonić głowę w milczeniu przed oczywistą przegraną. Fakirzy, o ile wogóle znajdowali się na skręcie — uszli tuż tuż pod wspaniałym nosem najlepszego z detektywów, Wiliama Perkinsa.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Przegrana detektywów angielskich była w godzinę później przedmiotem zabawy zebranych gości w pałacu wicekróla.

Całe przyjęcie było do tej pory nadzwyczaj sympatyczne i przyjemne. Bo czyż książę Kiwani nie był duszą już napół Anglikiem? Miał on, tak samo jak władcy angielscy, wspólnych nieprzyjaciół — to jest partye postępowe nihilistów i fakirów, którzy chcieli zreformować kraj jego ogniem i mieczem.

Uprzejmie i pozornie szczerze książę zaznaczył, że zawdzięcza życie swoje jedynie opiece rządu angielskiego, którą otaczany był nawet w Paryżu. Na co wice król odpowiedział, że i tutaj będzie panował pod tą opieką i w tym celu wydał surowe rozporządzenia do posłów i granic państwa — aby pilnować gorliwie każdą podejrzaną osobliwość, któraby usiłowała przedostać się do Indyi.

Zresztą wicekról był zupełnie spokojny pod tym względem, emisaryusze jego, rozsypani po całej Azyi, twierdzili, iż wpadli na ślady starego Falika i Sandrala, podróżujących oddzielnie i mających zamiar schronić się do Tybetu, lub Chin, w celach agitacyjnych. Wicekról nie wierzył ani przez chwile aby ci szaleńcy odważyli się podróżować na pokładzie „Indiany" — byłoby to szczytem naiwności — lub odwagi.

To też nieprzychylnie przyjął sprawozdanie szefa policyi, który przybył, aby mu zdać sprawę z poszukiwań przeprowadzonych na „Indianie".

— Za wiele gorliwości! — rzekł — za wiele! I za wiele rozgłosu. Jutro wszystkie dzienniki się o tem rozpiszą!

I nietylko dzienniki angielskie, lecz i miejscowe, które twierdzić będą z wszelką pewnością, że wygnańcy znajdowali się na okręcie, a uszli z niego przy pomocy nadnaturalnych sił, które tłum przypisuje sekcie fakirów. Jeszcze jedna „cudowna historya" zdolna rozpalić imaginacye prostych ludzi. Wicekról Indyi wolał tę historyę w żart obrócić i opowiedział ją przy sposobności, nie oszczędzając detektywów ze Scotland Yard — dodając — iż żałuje tylko, że w tę głupią sprawę wmieszano niepotrzebnie policyę indyjską.

Wiliam Perkins i Johnnie wysłuchali w milczeniu i spokojnie zarzutów wicekróla, powtórzonych im przez szefa policyi.

Zostali pokonani — musieli więc z godnością znieść skutki tej niemiłej porażki. — Ale bezzwłocznie podjęli napowrót walkę.

W umysłach ich bowiem pozostało uparte przekonanie, że zbrodniarze upatrzyli stosowną chwilę przy wylądowaniu księcia i jego eskorty i wykorzystali ją do dokonania ucieczki. A że detektywi nie byli obcymi temu wylądowaniu — należało dokładnie zbadać jego przebieg.

W tym celu, ubrani bez zarzutu, w białych rękawiczkach i krawatach, wsunęli się do salonów gubernatora, gdzie przeliczyli osoby, które opuściły okręt w czasie ich choroby.

Szef sekcyi miał liczbę tych osób i nazwiska spisane.

Wiliam Perkins i Johnnie sprawdzili więc tę listę. Osób było czterdzieści cztery. Piętnaście z nich gościło na przyjęciu u wicekróla Indyi — reszta więc znajdowała się w hotelach, gdzie zatrzymano apartamenty dla księcia Kiwani i jego świty.

Wiliam Perkins rozkazał Johnniemu iść sprawdzić ich ilość, a sam pozostał w blizkości księcia. Lista przyniesiona w krótkim czasie przez Johnniego, była identyczną z listą będącą w posiadaniu szefa policyi.

Wiliam Perkins nie należał jednak do ludzi ślepo wierzących. Zaklął po cichu i nie zwracając uwagi na zachmurzoną twarz Johnniego — sam jeszcze poszedł do hotelu i wyszedł z tym samym rezultatem co i on.

Już teraz Wiliam Perkins wiedział, że fakirzy nie opuścili okrętu, podszywając się pod cudzą obecność — ale opuścili go, ukryci w skrzyniach, lub bagażach!

A gdzież były te bagaże!

Szef policyi objaśnił go, że sam asystował przy przewiezieniu rzeczy księcia na dworzec, wraz ze swoimi detektywami — i że książę miał odjechać nazajutrz wczesnym rankiem do Kiwani. — Pora nie była jeszcze spóźniona. A na dworcu panował jeszcze ruch dosyć ożywiony. Fakirzy więc mieli dobrą sposobność ukrycia się pomiędzy tłumem i rozlicznymi bagażami, zawalającymi peron.

— Oni są ukryci w trumnie lakowej — powtarzał z uporem Johnnie. — I w nocy wydostaną się, aby nam zniknąć z oczu na zawsze.

Przyjęcie u wicekróla dobiegało końca. Wiliam Perkins poprosił Gewolskiego o chwilę rozmowy.

Sławny lekarz nie mógł żywić sympatycznych uczuć dla tych dwóch łajdaków, którzy tak zakpili z niego i chcieli w dodatku wrzucić go w morze na pokładzie „Indiany". Powinien był więc chętnie zgodzić się na prośbę Wiliama Perkinsa, który chciał aby im towarzyszył na dworzec. To też Gewolski nie namyślał się długo. — On nie potrzebował obawiać się spotkania z fakirami. — Jeżeli wogóle ktoś umknął z pokładu „Indiany" — to był nim Piotr Moreau! tylko Piotr Moreau! który prześladował go nienawiścią swoją i nienasyconą zemstą!

— Służę panom — rzekł Gewolski uprzejmie, lecz z odcieniem lekkiej ironii w głosie. — Ale pozwólcie mi ten drobiazg zabrać z sobą.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni nabity rewolwer.

— Ależ i owszem — odpowiedzieli zgodnie detektywi. — My takie same drobiazgi mamy w kieszeniach.

Gewolski był bardzo zadowolony — był bowiem teraz upoważniony bronić swojego życia, w razie niebezpieczeństwa. A wtedy jedyny człowiek, który go miał w rękach, jedyny człowiek, który mógł go zgubić — nie odezwie się już więcej i nie zdradzi jego tajemnicy w pałacu Kiwani.

— Możeby zatelefonować na dworzec, aby podwojono czujność — zaproponował szef policyi.

O nie! przeciwnie — odparł Wiliam Perkins — lepiej będzie, gdy znajdziemy tam mniej czujności, bo wtedy te łajdaki będą więcej pewni sebie.

W chwilę później automobil uwoził ich w stronę dworca, gdzie znaleźli wzorowy porządek. U wejścia otoczonego kordonem wojska i policyantów — czuwał sekretarz Matjasi. Gewolski chciał się do niego zwrócić z zapytaniem, gdy wtem rozległ się odgłos kroków, dochodzący od strony magazynów.

— A co! nie mówiłem wam! — szepnął Johnnie, wyjmując rewolwer z kieszeni.

Wiliam Perkins zaś skrzywił się i odparł:

— Nie szliby tak otwarcie i głośno! A przytem fakirzy, mój Johnnie, mają sandały, przypo-

mniej sobie! i chodzić umieją bez najmniejszego szmeru!

Podszedł sekretarz z wytłomaczeniem:

— Po siostrze panny Lusi Morel, panna Fernanda, która przybyła tu po drobiazgi jej potrzebne, zamknęła w kufrach, przywiezionych do magazynów razem z rzeczami naszego księcia!

Zaledwie Matjasi wymówił te słowa, gdy ukazała się Fernanda, niosąc pakiet z bielizną, i pudło z kapeluszami. Detektywi śledzili każdy jej ruch podejrzliwie a Gewolski objął ją nienawistnem spojrzeniem.

Fernanda przeszła spokojnie, po chwili zatrzymała się i zapytała donośnym głosem.

— Czy idziesz, ojcze?

Sekretarz Matjasi, machinalnie ukłonił się jej i spytał grzecznie:

— Pani się tu nie znajduje sama?

— Jakże to, mój panie — odparła młoda dziewczyna, siląc się na uśmiech — Czy nie widziałeś ojca, w chwili gdy tak uprzejmie pomagałeś mi odszukać moje kufry?

I rzeczywiście, zaraz ukazał się pan Morel, w kapeluszu o szerokich brzegach i fajką w ustach. Przechodząc obok Gewolskiego i detektywów skłonił się im głęboko i rzekł do córki spokojnym, dobrotliwym głosem:

— No! sądzę moja mała, że wytrzymasz, z tem, co masz w rękach, aż do naszego przyjazdu do Kiwani.

Poczem zmusił córkę do zatrzymania się, odebrał z jej rąk pudło z kapeluszami i jeszcze raz wrócił się i grzecznie uchylił kapelusza; po chwili ojciec z córką, lub też wój z siostrzenicą opuścili dworzec, nie przyspieszając kroku. Przedtem jednak stary malarz przystanął i zapalił zgaszoną widocznie fajkę — Gewolski i detektywi mogli wtedy ujrzeć jego dobroduszną, uśmiechniętą twarz.

Poczem znikł na zakręcie ulicy.

Nagle Gewolski uczynił ruch jakgdyby chciał biedz za odchodzącym, lecz powstrzymał go rozpaczliwy okrzyk Wiliama Perkinsa. Stał on na środku magazynu nad otworzoną trumną lakową, z załamanemi rękami, z tragicznym wyrazem na pobladłej twarzy.

— Przekleństwo! — krzyczał w bezsilnej wściekłości — przekleństwo! tym szatanom! tym potworom!

— A co? nie mówiłem wam! — zawołał Jonnie podbiegając do przyjaciela.

Trumna lakowa, była otworzona!

Zamki i pieczęcie księcia odjęte z niebywałą zręcznością...

I tutaj — tak samo jak tam na okręcie — trumna była pusta!

Intruz.

Już od dwóch miesięcy, panował w pałacu Kiwani zupełny spokój i harmonia, niczem nie zakłócona, pomiędzy ministrami księcia a doktorem Gewolskim, do którego tak zazdrośnie odnosili się w początkach jego pojawienia się na dworze.

Gewolski bowiem z taktem i rozwagą, umiał się odosobnić w swojem laboratoryum, zajęty jedynie doświadczeniami naukowemi i pracą. Książę urządził przyjacielowi swemu, wspaniałą pracownię. W pośrodku olbrzymiego przepysznego parku wznosiło się kilka pawilonów a na końcu znajdował się pałacyk przeznaczony dla doktora Gewolskiego i jego syna.

Pałacyk ten, był urządzony z całym wschodnim przepychem! Ściany pokryte były bogatymi dywanami i całą kolekcyę artystycznie rzeźbionej broni, sztychami i obrazami wielkiej wartości. Kilkanaście służących, Hindusów, kręciło się po pokojach, oczekując tylko na rozkaz swoich nowych panów.

Gewolski czuł się tak swobodnym pośród tego przepychu, jak gdyby w nim przebywał od dawna. Stanisław mieszkał z ojcem i pomagał mu w urządzaniu laboratoryum, na razie jeszcze prowizorycznego — gdyż czekano na przybycie dzielnego Antoniego, któremu dano rozkaz sprzedania małego pawilonu w Saint-Quen. Później, gdy wszystko się już ułoży, Stanisław miał się przenieść do pałacu księcia Kiwani, i wyręczać go w oficyalnych i prywatnych przyjęciach gości.

Gewolski sądził, że to wspólne mieszkanie i ciągła wzajemna styczność zbliży go do syna — ożywi dawne zaufanie i naprowadzi na drogę zwierzeń — A oczekiwał ich wraz z księżną Saharadżą, z wielką niecierpliwością i trwogą zarazem! Co ukrywało się pod tym pozornym spokojem i pogodą Stanisława? i nietylko Stanisława, bo i w zachowaniu się panny Lusi i jej ojca, bystre spojrzenie Gewolskiego i jego kochanki, nie mogła odkryć nic nienormalnego!

Byli to sympatyczni Europejczycy, przeniesieni nagle do tej krainy absolutnego piękna, istnej krainy marzeń — i objawiający z dniem każdym rosnące zadowolenie i zachwyt, nie zdający jeszcze sobie dokładnie sprawy z tej nieoczekiwanej przemiany!

Stary malarz, którego życie upłynąć miało, bez większych wrażeń w cichym i ubogim domku w Sannois — zajmował pracownię również rodzaj pałacyka — zdolną do wywołania zazdrości najsławniejszych i najlepiej sytuowanych mistrzów Paryża.

Lusia, zaś mieszkała w pałacu księcia Kiwani, zajmując pokoje obok księżniczki Kity, która obdarzała ją coraz żywszą sympatyą i bawiła się nią jak wielką, pożądaną lalką.



Na własne oczy widziałem tam w jadalnym pokoju, zajętego z całą rodziną, ożywioną rozmową.

Listy Lusi pisane do pani Morel zdradzały dostatecznie jej szczęście i radość. — Ale w listach tych z treścią, których potrafił się Gewolski zapoznać, nie było nigdy najlżejszej wzmianki o Stanisławie. — I ten drobiazg potrafił wyprowadzić go z równowagi. Czyżby ta młoda dziewczyna była artystką w odgrywaniu komedyi, nawet przed najbliższymi! Co zaś do panny Fernandy, ta nie opuszczała prawie mieszkanie ojca, gdzie odgrywała rolę gospodyny. I jej listy były wesołe i radosne, lecz nie zdradzały nigdy istotnego stanu duszy. I żadne z nich, ani pan Morel, ani jego córki, nie zdawała się pamiętać, o istnieniu brata i wuja i o jego powrocie do Francyi i — ukazaniu się w Sannois... w ów wieczór, tak pamiętny przecież dla Gewolskiego, podsłuchującego ich rozmowy w ogrodzie!

— Gdybym ich na własne oczy nie widział! — mówił Gewolski do księżnej Sahadżi — myślałbym że to sen! Ale przecież widziałem go! na własne oczy widziałem tam, w tym jadalnym pokoju, zajętego z całą rodziną, ożywioną rozmowę.

— A więc najoczywiściej oszukują cię wszyscy — odpowiedziała zimno księżna. — I kłamią wszyscy bezczelnie. I jesteś szalonym mój przyjacielu, że nie chcesz ani dopomódz w usunięciu ich wszystkich i uwolnieniu nas raz na zawsze od nich!

W tem otoczeniu pośród rozlicznych pawilonów, rozsypanych po parku i służby indyjskiej, gotowej na każde jej skinienie, zamiar ten mogła księżna z łatwością wykonać.

Cóż by było naprzykład bardzo interesującego, gdyby pewnego dnia znaleziono pannę Lusię śmiertelnie uśpioną w swoim pokoju, przy oknach otwartych? Powietrze tego kraju bywa niekiedy bardzo niebezpieczne i zdradliwe! A księżna i Gewolski mieli do dyspozycyi tyle rozlicznych, niezbadanych jeszcze przez naukę trucizn!

A cóż łatwiejszego, jak wprowadzić do mieszkania malarza Morela i Fernandy kilka jaszczurek „cobras", których ukąszenie jest śmiertelne. Wytłomaczonoby to nieszczęśliwym wypadkiem, a Stanisław byłby na zawsze uratowany.

Ale Gewolski nie był na tyle odważny i odpowiadał niezmiennie na te insynuacye kochanki.

— Czyby nam śmierć tych ludzi dopomogła w czemkolwiek? To o tamtego mi chodzi najwięcej! Podniecilibyśmy tylko jego wściekłość i pragnienie zemsty! Ach! żebym wiedział, gdzie „on" się obecnie znajduje!

I wtedy wzrastała kłótnia pomiędzy Gewolskim a księżną. Księżna Sahadża zarzucała wspólnika gorzkiemi wymówkami, zarzucała mu brak energii i stanowczości w ostatniej chwili. Tyle razy już przecież miał w rękach tego Piotra Moreau! tam! na obczyźnie! A wtedy, gdy sądził, że jego to trzyma ubezwładnionego na stole chirurgicznym w laboratoryum w Saint Quen!

— Ależ to był jego brat!

— A cóż to szkodziło! Była to w każdym razie jedna sprawa załatwiona. I nie miałbyś teraz tej idyotycznej rodziny, śledzącej każdy twój ruch! każde słowo! A gdy nareszcie miałeś tego Piotra Moreau u siebie — w cztery oczy — cożeś wtedy wymyślił? Chloroform!... Chloroform! dla unieruchomienia go! A zanim zdecydowałeś się wrzucić do Sekwany, ktoś ci go z pod nosa uprzątnął — oto twoja robota! twoje wielkie czyny!

A na okręcie? On, Gewolski, silny i dobrze zbudowany, pozwolił się pokonać przez takiego Piotra Moreau! I nie potrafił go nawet odszukać na pokładzie?! Ten nędznik drwił sobie zawsze z nich, jak bohater z wodewilu — uciekł z okrętu w trumnie lakowej, w tej trumnie świętej, przed którą władze indyjskie z przejęciem broń prezentowały! Czy to nie było śmieszne!?

— A on tu jest, w Indyach, możesz być tego pewna! — zawołał Gewolski rozpaczliwie — i ten nic nie znaczący człowiek w twoich oczach potrafił jednak ujść czujności całej policyi! Nie zdziwiłbym się wcale, gdybym się dowiedział pewnego dnia, że znajduje się w jednym twoich pałaców! A przecież śledzi go dwóch najzręczniejszych detektywów z Scotland-Yard!

— Dwóch głupców, chciałeś powiedzieć — rzekła pogardliwie księżna Sahadża — dwóch głupców, szukających bezskutecznie tych dwóch fakirów, którzy o tej porze już są w Indyach, gdzie prześlizgnęli się przez granicę Tybetu! Tak, dowiedzieliśmy się o tem dziś rano! I jeżeli ci nędznicy dotrą aż do mojego małżonka, pomimo całego zastępu angielskiej policyi i wytłómaczą mu, jakim sposobem doszli do posiadania tej trumny, w której zamknięty był twój więzień... o czem nigdy nie ośmieliłeś się wspomnieć księciu — wyobrażam sobie, jak wówczas poprawi się nasze położenie! A ty tymczasem ochraniasz idyotycznie jego brata i siostrzenice, które grają role szpiegów przy nas!

Gewolski uczynił ruch zupełnego zniechęcenia.

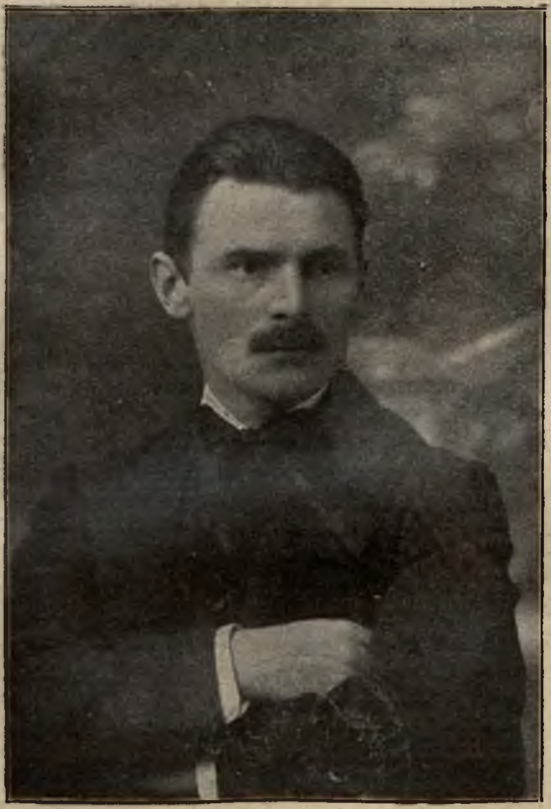
— Nie potrzebowałbyś mieszać się do tego wszystkiego — szepnęła głucho księżna, patrząc przenikliwie w oczy kochanka.

Ale w jednej chwili Gewolski odzyskał utraconą energię.

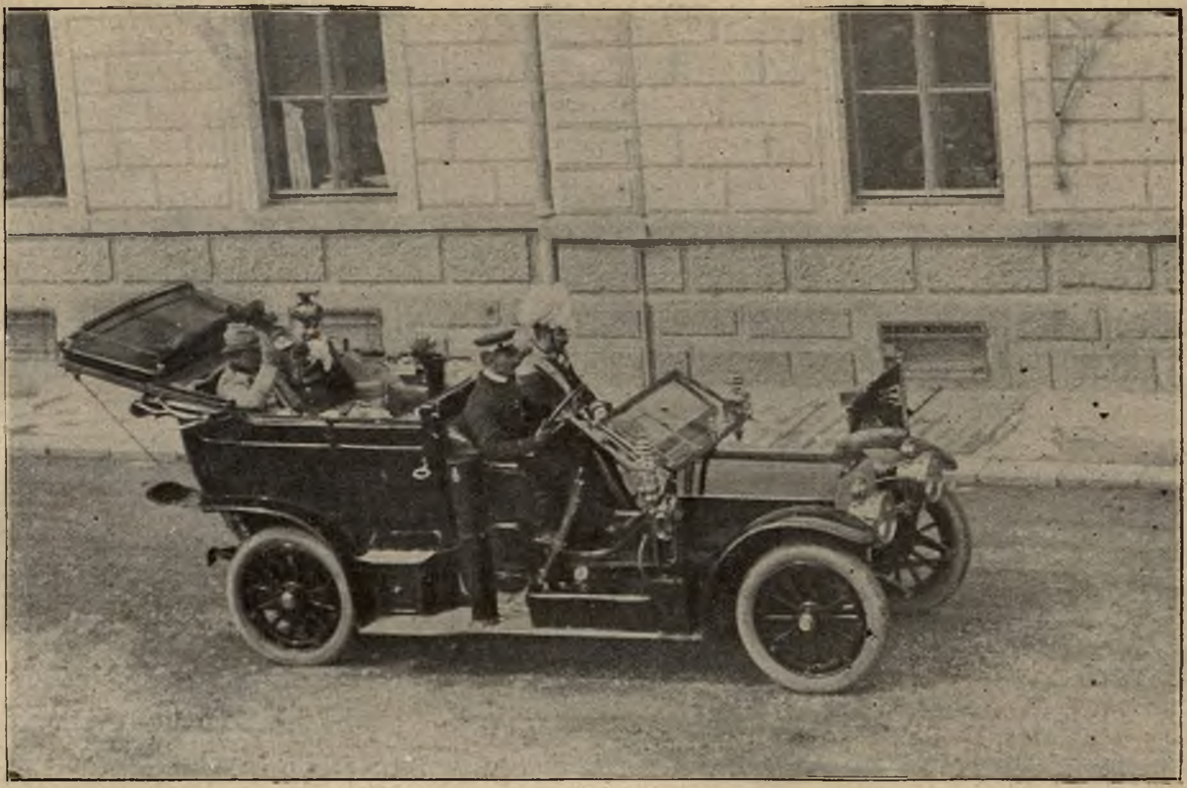
(Ciąg dalszy nastąpi).

Krwawa polityka na wsi galicyjskiej.

Rozwinięte życie polityczne w Galicyi oraz liczny żywiołowy w niem udział wsi wydają rezultaty najopłakańsze. Drogi i metody polityczne, nie zawsze mogące być idealnie prostemi, stworzyły w pierwotnych duszach włościańskich jaknajgorsze o nich sądy — chwiejność przekonań, przekupstwo, karyerowiczostwo, frazeologia i t. p. — stały się u nich synonimem polityki.



Krwawa polityka na wsi galicyjskiej: Ofiara napadu, redaktor Dąbski.



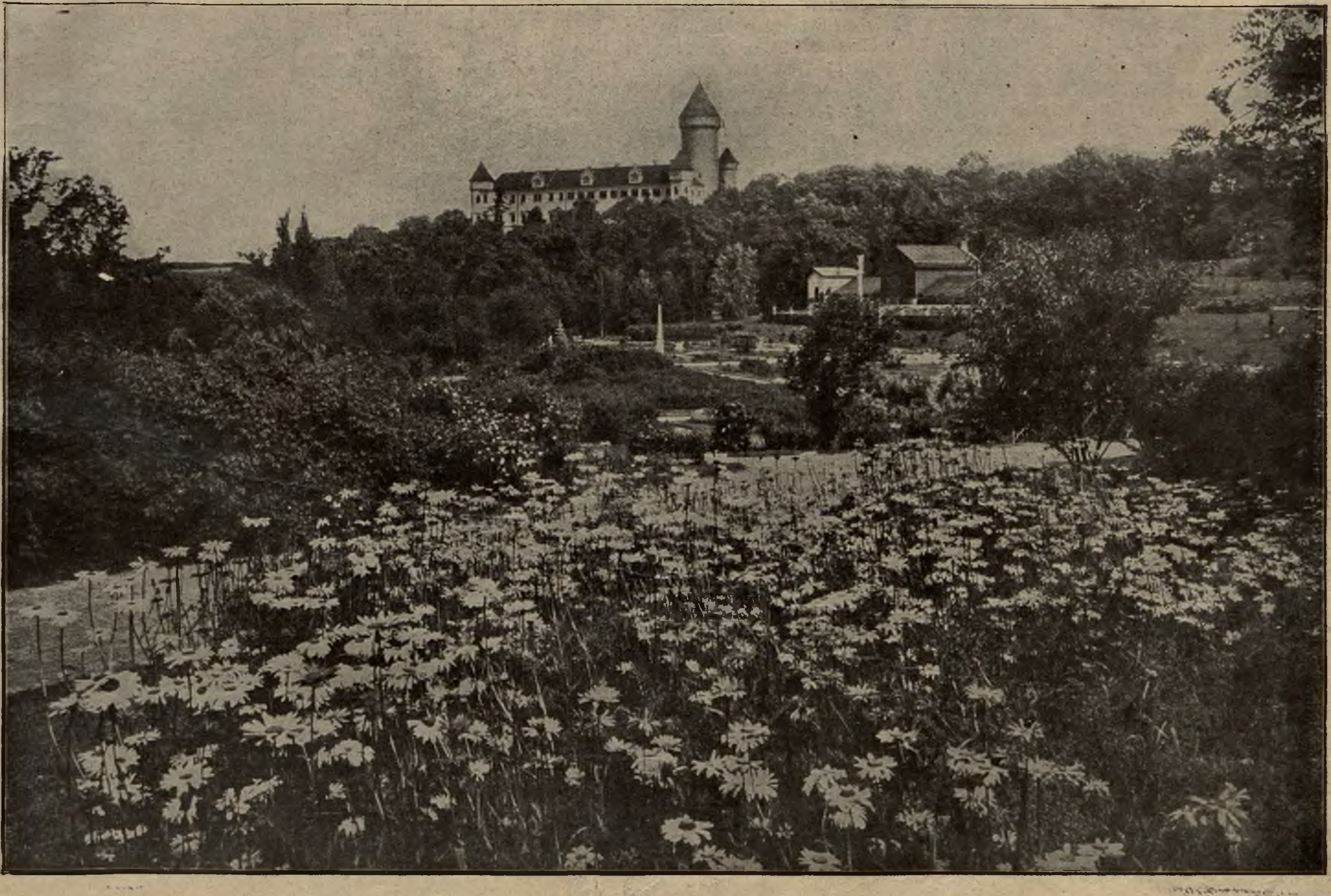
Znamienny zjazd: Wilhelm II i austryacki następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand w Konopiszt.

Doszło do tego, że niezadowoleni chwilowo ze swych trybunów chłopi załatwiają się z nimi doraźnie — jest to najsmutniejszy bilans polityki ludowej. Krwawe napady jak w Kielanowicach i Krajowicach przekreślają prawie w całości dodatnie jej skutki, bo świadczą, że szła ona nie we właściwym kierunku t. j. podniesienia moralnego i społecznego wsi polskiej. Po głośnym napadzie i pobiciu p. Stapińskiego przez zwolenników drugiego odłamu partyi, dokonanem w Kielanowicach pod Tarnowem, zdarzył się znowu w tych dniach przesmutny wypadek krwawego starcia między obu obozami w Krajowicach pod Jasłem. Tłem napadu był wiec publiczny urządzony we wsi Ujeździe, na którym referat o rozłamie w P. S. L. wygłosił p. Dąbski, kierownik Biura Stron. lud. grupującego się koło „Piasta".

Wyrażono tam votum nieufności p. Stapińskiemu i posłom Madejowi i Bosakowi. Obecni na wiecu posłowie Madej i Bosak poczęli głośno oponować, za co ich zebrani wyrzucili z sali. Podniecone tem grono ich adherentów napadło pod Krajowicami na powracającego do Jasła p. Dąbskiego, którego wraz z trzema towarzyszami pp. Kanią, Petko i Cholewiakiem ciężko pobili, raniąc ich kołami i kamieniami. Napadnięci w nocy poczęli uciekać, a p. Dąbski skrył się nawet do jednej z chat, lecz rozwścieczeni chłopi wyciągnęli go siłą i pobili drągami aż do utraty przytomności. P. Dąbski odniósł kilka ciężkich ran na głowie i ciele i przeleżał kilka godzin bez ducha na polu.

Turniej szachowy we Lwowie.

Szachiści lwowscy nie chcąc pozostać w tyle za krakowskimi, którzy niedawno mieli Rubinsteina, urządzili polski turniej szachowy. Rozpoczął się on 16 maja, skończy w końcu czerwca, bierze w nim udział „feralna" liczba uczestników, bo 13. Rozegranych będzie na turnieju 156 partyj ogółem, nagród będzie pięć i dwie honorowe. Partye rozgrywane są w kawiarni amerykańskiej i budzą wielkie zainteresowanie, gromadząc codzień wielką galeryę widzów. Wyniki turnieju podamy w swoim czasie, a nie wykluczone jest, że i niektóre z piękniejszych partyj w całym przebiegu, we własnym dziale szachowym, który zaprowadzamy w „Nowościach Illustrowanych" od lipca. — Na razie podajemy zdjęcie jednego z ciekawszych momentów turnieju.



Znamienny zjazd: Zamek w Konopiszt, gdzie odbył się zjazd cesarza Wilhelma z austryackim następcą tronu.

Kronika tygodniowa.

Na brak sensacyi w ubiegłym tygodniu nie można stanowczo narzekać, wyłania się natomiast nowa trudność, od czego zacząć, by rzecz szczęśliwie do końca doprowadzić.

Zdrowy rozum każe pamiętać w tym względzie o Krakowie, z racyi, że bliższa koszula ciała, niż kamizelka, niech więc pozwoli „Prenumerator od lat jedenastu“, że najpierw jemu odpowiem.

W liście swym, raczej kartce, oburza on się zupełnie niesłusznie na Redakcyę, że w artykule, wspominającym o dzielnym czynie strażaka Włodka, który z narażeniem własnego życia pospieszył na ratunek trzem robotnikom, użyto wyrażenia „w Dębnikach pod Krakowem“.

Przyznaję, że każdy Krakowianin, nawet zupełnie rozszerzony, wie, że Dębniki leżą tuż pod Krakowem i już wchodzą w skład stolicy, nie każdy natomiast już Warszawiak, a tembardziej Polak, mieszkający w Stanach Zjednoczonych, dokąd odchodzi cała paka „Nowości Illustrowanych“, zna tak dobrze geografię Galicyi, iżby mu to nie nasuwało pewnych wątpliwości, gdzie też znajduje się owa miejscowość. Nie każdy ma też pod ręką „Skorowidz miejscowości w Galicyi i na Bukowinie“. Autor artykułu sumitował się ze łzami w oczach, że nie miał wcale zamiaru obrażenia Dębnik i przyrzekł na przyszłość poprawę, a nawet zobowiązał się, że, aby zmazać winę, poszuka sobie mieszkania w tej właśnie dzielnicy, by zostać jej obywatelem i występować potem także w obronie jej zaczepionego honoru.

Tyle *de privatis*, teraz przechodzimy do spraw ogół obchodzących.

Kraków w ubiegłym tygodniu był stanowczo pod znakiem Wilczka, o którego przychwyceniu w Dreźnie nadeszła do nas wiadomość w sam dzień Bożego Ciała. Pościg, zarządzony za defraudantem, z początku wydawał się fałszywie skierowanym, wielu kiwało powątpiewająco głowami, twierdząc, że Wilczek dał już dawno nura w amerykańskie prerye, dziś muszą przyznać, że byli w błędzie, złapał się bowiem w nastawione nań sidła. Najeździł się przynajmniej dość, napatrzył się ładnym kobietkom, które chwali w swych listach do „meine liebe Beka“, należy mu się więc słusznie wypoczynek, którego nie odmówi mu pan prokurator w gościnnych apartamentach u św. Michała. Tam, w zaciszu poklasztornych murów, będzie mógł nawet zacząć pisać swe pamiętniki i rozprawę o systemie oszczędnościowym, jaki zarząd poczt stosuje od dłuższego czasu.

Teraz zaczniemy szukać reszty pieniędzy (brakuje jeszcze coś około pięćdziesiąt tysięcy). Jeśli się znajdą, pan Wilczek będzie mógł rościć sobie pretensye, by go uwolniono, skoro nikt nie poniósł faktycznej szkody. Obrońca zwróci uwagę panów przysięgłych na brak kontroli, który zachęcił podsądnego do spełnienia zbrodni i tak ich wzruszy, iż na pytanie pierwsze główne: „Czy Wilczek winien jest, że... i t. d.“, odpowiedzą jednogłośnie „nie“, a trybunał wobec tego ogłosi werdykt, uwalniający od winy i kary. (Porównaj sprawę egzekutora miejskiego w Krakowie, Bendasiuka i spółki i t. d.)

Po Wilczku przyjdzie kolej na wyścigi, które zaczynają się już w najbliższą niedzielę. Kto ma ochotę i monetę, będzie mógł podać rękę szczęściu, trzeba się zaś spieszyć, rok bowiem 1915 będzie ostatnim istnienia toru wyścigowego na Błoniach. Co się zaś stanie później, nie wiadomo. W „Końskiem Kasynie“ narzekają, że Krakowianie zbyt mało interesują się szlachetnym sportem i o tyle tylko odwiedzają wyścigi. o ile mają gratisowe bilety wstępu, lub są zwolennikami „totka“.

W ostatnich latach i on się nawet popsuł, za piątkę dostajesz piątkę, lub co najwyżej jedenaście lub dwanaście koron. Zresztą krakowski totalizator nie jest przeznaczony dla chudopachołków, najniższa stawka wynosi tutaj dziesięć koron, gdy gdzieindziej tylko pięć.

Ze względu, że meeting wiosenny przypada na sam koniec miesiąca i kwartału, to jest na czas, gdy konjunktury finansowe są na ogół bardzo niepomyślne, krakowskiemu totalizatorowi nie wróżę powodzenia. Nie kupuję także losu, na który można wygrać prawdziwego konia wyścigowego, nie wiem bowiem, cobym z nim począł, gdyby tak Fortuna łaskawem na mnie spoglądnęła okiem... Nie należy się przecież tego obawiać, znam swego pecha, który mnie już od urodzenia prześladuje i wiem dobrze, że mi się to nie uda.

Bezpośrednio po wyścigach zaczną się już prawdziwe wakacye i masowa emigracya na świeże powietrze, w Krakowie zostaną tylko ci, którzy muszą, a *gros* pomiędzy nimi stanowić będą słomiani wdowcy, szczęśliwi, że bodaj na kilka tygodni uda się im zdobyć tak upragnioną złotą wolność. Operetka zyska potężny zastęp stałych gości, na ten też okres odłożyła Dyrekcya przedstawienia „Cnotliwej Zuzanny“.

Wypadałoby napisać coś o operze i operetce, boję się przecież, czy potrafię się należycie wywiązać z zadania, aby być bowiem sprawozdawcą artystycznym, trzeba być dziś człowiekiem, przerastającym co najmniej o głowę resztę społeczeństwa. W jednem z pism codziennych czytuję artykuły poświęcone teatrowi i jestem nimi po prostu olśniony. Co za bajeczna forma, przy zupełnie banalnej treści! To mi dopiero geniusz ów autor, który potrafi pisać nawet o tem, czego nie słyszał i nie widział. A ma on jeszcze i tę zasługę, że dzięki jemu wzbogaca się i nasz język, tworzy bowiem nowe wyrazy, n. p. „wykon całości był zupełnie poprawny“.

Oryginalność, a raczej polowanie na nią, jest widać słabością różnych artystycznych referentów, w jednem bowiem z poważnych pism, w recenzyi z koncertu, jaki się odbył tego roku, wyczytałem o „popielatych tonach“ znakomitego wirtuoza.

Ja tak pisać nie potrafię, choćbym się nawet i silił, wolę więc pole do popisu zostawić komu innemu.

Jedno mnie tylko pociesza, mianowicie okoliczność, iż z chwilą nastania wakacyi ustaną zapewne dni kwiatka, sympatyczne kwestarki przeniosą się kędyś, gdzie jest zdrowsze powietrze, nie będzie więc człowiek narażony na to, iż nie wolno mu się bezkarnie, raczej „bez pieniędzy“, pokazać na ulicy.

Bardzo słusznie zauważyła „Gazeta Poniedziałkowa“, iż to ciągłe odwoływanie się do cudzej kieszeni, wyłazi nam już bokiem i radzi, by krakowskie towarzystwa dobroczynne urządzały jeden wspólny dzień kwiatka, a dochodem się dzieliły. I mnie się zdaje, że plon byłby wówczas obfitszy, niż dziś, gdy człowiek musi zmykać przed atakującemi go ze wszystkich stron amazonkami, uzbrojonemi w puszki, zamiast, jak ich poprzedniczki, w łuki i dzidy.

Dotychczas jeden dzień kwiatka się nie udał z powodu niepogody, odłożono go jednak na później. A cel składek był wówczas właśnie najsympatyczniejszy, zbierano bowiem na Macierz Cieszyńską.

W szczęśliwem położeniu jest Lwów. Tam niepogody nie trzeba się obawiać. Z „Gazety wieczornej“ dowiedziałem się, iż żywie tam niejaki pan Eugeniusz Turbacki, który robi ją na zamówienie. Czy wywiązuje się należycie z zadania, nie udało mi się stwierdzić.

Zajmowała nas także w tym czasie i kwestya kobieca, a to ze względu na dwie okoliczności. Angielskie sufrażystki coraz bardziej dają się we znaki swym politycznym ciemiężycielom i, jeśli tak dalej pójdzie, w całej Anglii nie będzie za jakiś rok ani jednego zabytku sztuki, któryby nie był pocięty, lub okopcony, w całym zaś świecie, nawet w postępowej Ameryce, zaczyna się ogólna wojna przeciw grymasom i dziwactwom mody. Obie płci, bez różnicy wieku, występują gwałtownie przeciw spętanym sukniom i rozporkom, a motywują to tem, że właśnie tego rodzaju toaleta, choć jej jest bardzo mało, kosztuje właśnie bardzo wiele. Amerykanie obliczyli nawet, że przeciętnie trzecia część dochodów średnio sytuowanego ojca rodziny obracaną bywa na suknie, kapelusze, parasolki i t. d. czcigodnej jego połowicy. Oburzając się na to, nazywają obecną modę „modą półświatka“, bo tylko damy z półświatka, mające bardzo obfite, choć niestałe, dochody, mogą się zdobyć na sprawianie sobie coraz dziwaczniejszych okryć, zresztą w nowomodnej sukni, uważająca na się kobieta, wstydziłaby się nawet pokazać publicznie.

Jeśli ta krucyata, jaką się prowadzi przeciw tym „wymysłom szatana“, jak nowe mody nazwała pewna nabożna dewotka, powiedzie się w zupełności, kto wie, czy nie powrócimy do obszernych krynolin, w których naszym babkom i prababkom tak było „do twarzy“.

Ułatwiłoby to Anglikom wymiar sprawiedliwości, zaczynają bowiem energiczniej występować przeciw histeryczkom, przekonawszy się, że łagodność do niczego nie prowadzi. Poważni prawnicy zastanawiają się, czyby wobec krnąbrnych niewiast nie stosować kary chłosty, przetrzymywanie ich bowiem we więzieniach nie udaje się ze względu na strejki głodowe...

Najbardziej mi żal owego kolegi po piórze, redaktora „Belfast Telegraph“, któremu w jego własnej pracowni oblały głowę klejem, cieszę się jednak, bo budzi się już reakcya, wywołana ich terroryzmem. Kilku młodych Belfastczyków, dowiedziawszy się o ekscesach, usiłowało wykąpać sufrażystki w stawie (porównaj pławienie czarownic w średnich wiekach), zdarzyło się też, że robotnice pozdzierały z nich na ulicy szaty i puściły w stroju prababki Ewy...

Musiał to być widok prawdziwie klasyczny, jeśli się zważy wiek i kształty gotyckie prześladowanych niewinności.

Sędzia nie pociągnął napastników do odpowiedzialności, ukarał natomiast „nagie dusze“ z powodu obrażenia publicznej moralności.

U nas, dzięki Bogu, jeszcze spokój, nasi moraliści nie oświadczyli się jeszcze, jak wolą widzieć kobietę, w wązkiej sukni, krynolinie, czy też — bez nich.

Sufrażystki także nie dają powodu do narzekań, jak dotąd nie zabierają się do nas ostro, boję się jednak, by odemnie nie zaczęły. Nie radzę im, ja mam pech, początek byłby więc kiepsko zrobiony.

A wiadomo, co to znaczy tak zwany „giter' początek“!... Zwłaszcza w handlu.

W tym czasie, kiedy Kraków zajmował się powyższemi sprawami, Warszawianki targały swe nerwy podczas procesu Bispinga, dziś opłakują go, został bowiem skazany na cztery lata rot aresztanckich. Cała nadzieja, że zgłoszono apelacyę, wszystko więc powtórzy się raz jeszcze...

Jaka jednak szkoda, że kobieta nie wchodzi tutaj w grę! Toż to byłaby dopiero sensacya, większa przynajmniej o sto procent, jeśli nawet nie więcej.

I ktoby to był przed tygodniem powiedział, że znów grozi święta wojna i to na Bałkanie. Bigos, który przygotował pan Berchtold i San Giuliano, przypalił się, panuje ogólne przekonanie, że Albanią podzielą się po bratersku sąsiedzi. Grek występuje gwałtownie przeciw Turkowi i grozi mu nową wojną, Bułgarya siedzi cicho, gdyż nie otrzymała pożyczki, Rumunia waha się, w którą ma się zwrócić stronę.

„I to pachnie i to nęci“, mogłaby powiedzieć, jak ów osiołek, który miał przed sobą dwa pełne żłóbki, w tym wypadku jeden z łaski trójprzymierza, drugi trójporozumienia. Obie te spółki starają się przelicytować wzajemnie w okazywaniu sympatyi pożądanemu przyjacielowi, który może odegrać rolę języczka, przechylającego równowagę w tę, lub ową stronę.

Zwrócono więc ogólną uwagę na zjazdy polityczne, jakie się odbyły w ostatnich czasach, zwłaszcza zaś na zbliżenie rosyjsko-rumuńskie, choć i odwiedziny Wilhelma II. w Konopiszt nie były także pozbawione swego znaczenia, zwłaszcza, że na polowanie na bażanty wybrał się cesarz w czasie ochronnym i do tego w towarzystwie swego wielkiego admirała v. Tirpitza.

I tutaj wentylowano politykę światową; nie wiadomo przecież, jakie decyzye zapadły. To, co się mówi i pisze, to tylko domysły.

Równocześnie wybrał się do Konopiszt *incognito* król szwedzki, który bawi na kuracyi w Karlsbadzie.

Włochy zajęte są strejkiem generalnym, jaki wybuchł w całym kraju, Francya zmienia co dwa dni gabinet, nie mogąc sobie dobrać właściwych kierowników polityki, nie brakuje więc materyału do rozmów przy bombce piwa i robienia kombinacyi. Kronikarz jest także zadowolony, nie potrzebując szukać jakichś tam wężów morskich.

Bank Przemysłowy w Krakowie.

Bank Przemysłowy, zakładając swoją filię w Krakowie w r. 1912, powziął myśl wybudowania własnego domu na pomieszczenie biur. W tym celu nabył od pp. Fenzów trzypiętrowy dom przy Rynku Głównym i ul. Szewskiej. Dom ten okazał się za szczupłym i nie nadawał się do rekonstrukcyi z powodu lichych murów, nadto nie posiadał zabytkowej wartości (znalezione dwa gotyckie obramienia kamienne ustawiono w Bibliotece Jagiellońskiej) więc postanowiono go zburzyć i na jego miejscu wznieść nowy, któryby odpowiadał w każdym kierunku nowoczesnym wymaganiom instytucyi finansowej.

Po zburzeniu starego domu powierzono wykonanie planów i oddano w przedsiębiorstwo budowę wraz z urządzeniem wewnętrznem architektom pp. L. Wojtyczce i K. Wyczyńskiemu, którzy z końcem roku 1912 przystąpili do budowy, a w roku 1913, oddali gotową siedzibę bankowi do użytku.

Budynek wykonany jest ogniotrwale z cegły i betonu. Posiada centralne ogrzewanie, ciepłą wodę, wentylacyę, wodociągi, elektryczne i gazowe urządzenie dla światła, windy elektryczne, osobową i na akta, telefony miejscowe i miastowe, dzwonki alarmujące i t. d. jednym słowem wszystkie nowoczesne urządzenia są tu zastosowane.

Na zewnątrz przedstawia się okazale nowa siedziba Banku. Jest czteropiętrowy gmach z attyką od ulicy Szewskiej, o bardzo dobrych proporcyach i podziałach i mimo, że architektura oparta jest na formach klasycznych greckich, okazuje dużo inwencyi artystycznej i świeżości tak w pomyśle jak i w szczegółach.

Dwa wejścia jedno od Rynku Głównego drugie od ulicy Szewskiej wprowadzają do wnętrza. Wejściem od Rynku wchodzi się do kantoru wymiany, zajmującego prawie cały parter z wyjątkiem pokoju Komitetu nadzorczego, przedpokoju i klatki schodowej. Jest to obszerna hala o dobrych proporcyach, oświetlona sześcioma dużemi oknami od góry, zamknięta sklepieniem wykonanem systemem „Rabitza“, ozdobionem sztukateryami. Lada dzieli całą halę wzdłuż jej długości na dwie części; jedna służy dla urzędników, druga dla stron, przyczem pozostawiono wiele miejsca dla swobodnego ruchu publiczności. Całe wnętrze hali tak co do wyposażenia architektonicznego, jak i praktycznego, przedstawia się okazale i celowo.



Bank Przemysłowy w Krakowie: Nowy gmach filii krakowskiej na Rynku (róg ulicy Szewskiej).

O pięknym rysunku boazerya wiąże ze sobą ściany tak zwany „windfang“, budki na telefon i kaloryfer w jedną harmonijną całość. Na ścianie od sąsiada w boazeryę wbudowane są pulty, wieszadła i kanapy dla publiczności, przez co długość tej boazeryi jest urozmaiconą, a zarazem osiąga się ich cel praktyczny. O tym samym rysunku jest lada w środku długości lekko wysunięta naprzód i tu są dwie kasy, oddzielone od publiczności i urzędników ścianami oszklonemi. Sciana przeciwległa wejściu od Rynku Głównego ozdobiona jest muszlą lekko wklęsłą, bogato udekorowaną, ze słupem za zegar. Wszystko to razem tworzy jednolitą całość pełną gustu i smaku o poważnym stylu.

Również pod względem praktycznym urządzono kantor nowocześnie. Dla ułatwienia porozumiewania się czyto urzędników między sobą, czyto z biurami dyrekcyi, czyto z innymi telefonami miejskiemi, służą telefony miejscowe, oraz telefon międzymiastowy, dostępny także dla publiczności. Dalej dla szybkiej wysyłki aktów z kantoru do biur na wyższych piętrach urządzono windę elektryczną z przystankami na każdem piętrze. Przewidziano też na wypadek niebezpieczeństwa dzwonki alarmowe, umieszczone pod każdem biurkiem urzędnika sygnalizujące wszystkie biura na wyższych piętrach.

Z hali schodzi się wygodnemi schodami, umieszczonemi przy ścianie z niszą na zegar, do skarbca bankowego i schowków dla publiczności umieszczonych w suterynach. — Naprzód wchodzi się do obszernej poczekalni, wykwintnie urządzonej, w której znajdują się również boksy dla publiczności, korzystającej ze schowków. Z poczekalni dostaje się do schowków i skarbca bankowego. Przestrzeń ta urządzoną jest i zabezpieczoną w pierwszorzędny sposób. Wejście z poczekalni zamykają potężne, misternie skonstruowane drzwi pancerne, ostatni wyraz



Bank Przemysłowy w Krakowie: Uroczyste posiedzenie komitetu i Rady nadzorczej w nowym gmachu.



Bank przemysłowy w Krakowie: Hala parterowa kantoru wymiany.

techniki w dzisiejszych tego rodzaju urządzeniach. Prócz tych są jeszcze jedne silne drzwi kratowe żelazne, umieszczone w grubości muru, zamykające skarbiec przez dzień. Dopiero poza temi drzwiami znajdują się schowki i skarbiec, oddzielone od siebie silną żelazną kratą, sięgającą aż pod strop. Przestrzeń ta robi wrażenie kasety z żelaza i betonu, włożonej między strop żelazno-betonowy nad suterynami i kamienne mury, dochodzące do 2·50 metrów grubości ściany, strop i podłoga tej kasety mają stalowe patentowane uzbrojenia w murze betonowym. Ażeby bezpieczeństwo zwiększyć, urządzono dzwonki do biur i służby, sygnalizujące automatycznie każde niewłaściwe dotknięcie, oraz wybuch pożaru w skarbcu.



Bank przemysłowy w Krakowie: Poczekalnia przed skarbcem.

Tak skarbiec, jak i poczekalnia są ogrzewane, zwentylowane i rzęsiście oświetlone, co razem z wyżej wymienionemi urządzeniami tworzy pierwszorzędny skarbiec.

Z hali prowadzi wejście do małego przedpokoju, stąd do pokoju stale urzędującego wiceprezesa komitetu nadzorczego filii i klatki schodowej. Ponieważ tak ten pokój, jak i przedpokój są bezpośrednio połączone z kantorem, dlatego też drzwi, oddzielające przedpokój od schodów, są ze środka opancerzone silną blachą stalową. Prócz tego wejścia do klatki schodowej jest jeszcze główne od ulicy Szewskiej. Z tego wejścia, zabezpieczonego na noc kratą żelazną, przechodzi się do schodów i windy osobowej, obsługującej wszystkie piętra.

Na pierwszem piętrze mieszczą się biura dyrekcyi, poczekalnia dla stron, oraz korespondencya i registratura. Do wszystkich biur jest bezpośredni dostęp z korytarza, oświetlonego oknami i drzwiami oszklonemi, również wszystkie biura są ze sobą połączone odrzwiami. Pokoje dyrekcyi jasne, o dużych oknach, są urządzone ze smakiem i pełną gustu prostotą. Podobnie są urządzone i biura urzędników. Są to pokoje jasne i wygodne, zaopatrzone w telefony miejscowe, windę na akta, mające odpowiednią ilość lamp i kontaktów, co umożliwia łatwe i dogodne rozmieszczanie stołów i biurek. Taksamo są urządzone biura na wyższych piętrach. Na drugiem piętrze jest sala posiedzeń z pięknemi meblami i boazeryą orzechową, która wraz z pomalowaniem ścian i świecznikami tworzą nadzwyczajnie harmonijną całość. Na poddaszu w attyce są dwa mieszkania dla służby wraz ze strychami oraz archiwum i składzik.



Bank przemysłowy w Krakowie: Skarbiec opancerzony ze schowkami.

Wszystko to razem przedstawia się okazale i przynosi zaszczyt tak architektom pp. Wojtyczce i Wyczyńskiemu oraz naszym rękodzielnikom, którym architekci powierzyli wykonanie poszczególnych robót. I tak roboty murarskie wykonali pp. Wojtyczko i Wyczyński; roboty ciesielskie Kazimierz Zieliński, roboty blacharskie Władysław Stopiński; roboty betonowe firma Karol Hechter; roboty stolarskie Antoni Niedzielski; roboty ślusarskie Władysław Augustynowicz; roboty szklarskie Mikołaj Woroniecki i M. Torner; roboty sztukaterskie J. Marta; roboty malarskie Józef Wołowski; roboty pokostowe Karol Orlecki; inne roboty wykonali: posadzki dębowe Roman Muranyi; roboty asbestowe Andrzej Guzikowski; schody Stanisław Fyrkowski; centralne ogrzewanie i wodociągi firma inż. Leonard Nitsch i Ska.

Wewnętrzne urządzenia według projektów i wskazówek architektów Wojtyczki i Wyczyńskiego wykonały następujące firmy: Urządzenie kantoru w robocie stolarskiej firma St. Burzyńskiego, urządzenie poczekalui przy skarbcu A. Nudziński, całe urządzenie sali posiedzeń firma A. Sydor, roboty brozownicze Fr. Kopaczyński, roboty tapicerskie Stefan Iglicki. Kończąc opis należy zaznaczyć, że całość wystawia najlepsze świadectwo naszemu rękodzielnictwu.

Dnia 10. b. m. odbyło się uroczyste otwarcie i poświęcenie nowego gmachu oraz inauguracyjne posiedzenie Komitetu i Rady nadzorczej, w której wzięli udział: Eks. Dawid Abrahamowicz, prezes Rady związ. lwowskiej; dyr. Krasny, wiceprezes centrali lwowskiej; hr. Zamoyski, drugi wicepr.; dr. Jahl, członek Wydziału krajowego; Eks. prezydent dr. Leo prezes Rady związ. krakowskiej; p. Horowitz, prezes lwowskiej Izby handlowej; radca dworu Szarski, dyr. centrali lwowskiej; dyr. Karłowski, p. Mendelsburg, wiceprezes Rady krak., dr. Służkiewicz dyr. filii w Drohobyczu, dr. Drochocki dyr. filii krakow. dyr. Fillipi i dr. Aschkenazy.

Illustracye nasze obrazują siedzibę filii krakowskiej oraz uczestników uroczystego posiedzenia Rady na którem uchwaliła ona ofiarować 2000 K na cele publiczne, składając je na ręce prezydenta Eks. Lea.

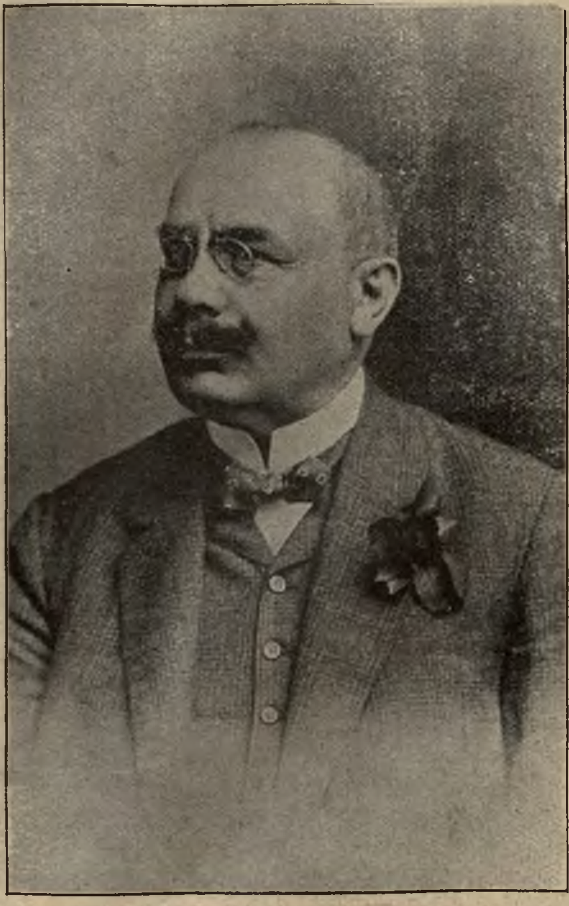


Wystawa samochodowa w Warszawie: Komitet wystawy (od lewej): Al. margrabia Wielopolski, St Górski, Karol hr Raczyński, mec. K. Olszowski, Andrzej Rotwand, inż. Piotr Strzeszewski i Adrjan Chełmicki.

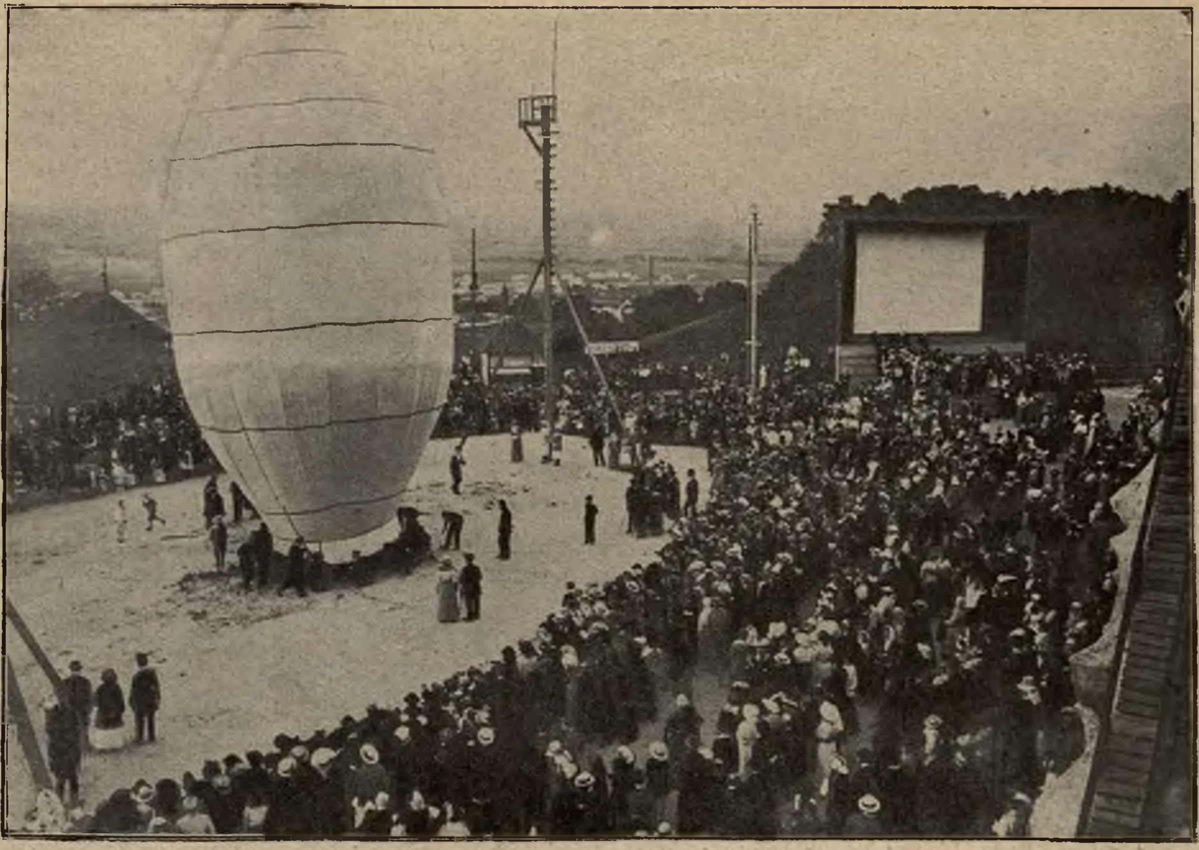
Nad świeżą mogiłą.

Przed kilku dniami zmarł we Lwowie długoletni sekretarz tamtejszego teatru, Mieczysław Sachorowski.

Śp. Sachorowski urodził się w r. 1852 w Poznańskiem. We wczesnej młodości poczuł pociąg do teatru. Grywał więc najpierw na scenach prowincyonalnych, później za dyrekcyi Dobrzańskiego dostał się na scenę lwowską, gdzie występował w rolach wodewilowych i śpiewnych, a później został sekretarzem lwowskiego teatru. W tym charakterze pracował też za dyrekcyi Gliksona w krakowskim teatrze w latach 1889 — 1893, lecz potem wrócił do Lwowa, gdzie pozostał niemal aż do śmierci. Cenny pracownik dla dyrekcyi, uczynny dla kolegów-artystów, cieszył się powszechną sympatyą. Dostarczył on scenom polskim kilku przekładów sztuk obcych repertuaru współczesnego, dokonanych bardzo poprawnie.



Nad świeżą mogiłą: S p. Mieczysław Sachorowski, sekretarz teatru lwowskiego.



Balon-spadochron we Lwowie: Wzlot balonu w Parku zabawowym (Fot. M. Münz, Lwów).

Balon-spadochron we Lwowie.

Aeronautyka już tak kwitnie, że poświęcają jej się nawet kobiety. U nas jest to jeszcze nowością, to też na wzlotach balonem odważnej lotniczki p. Baumgart w Parku zabawowym we Lwowie zebrały się tysiączne tłumy widzów. Balon to był „starej daty“, gdyż wznoszący się zapomocą ogrzanego powietrza, w miarę ochładzania się którego lotniczka opadała, gdy otwarty u dołu balon zmieniał się na spadochron.

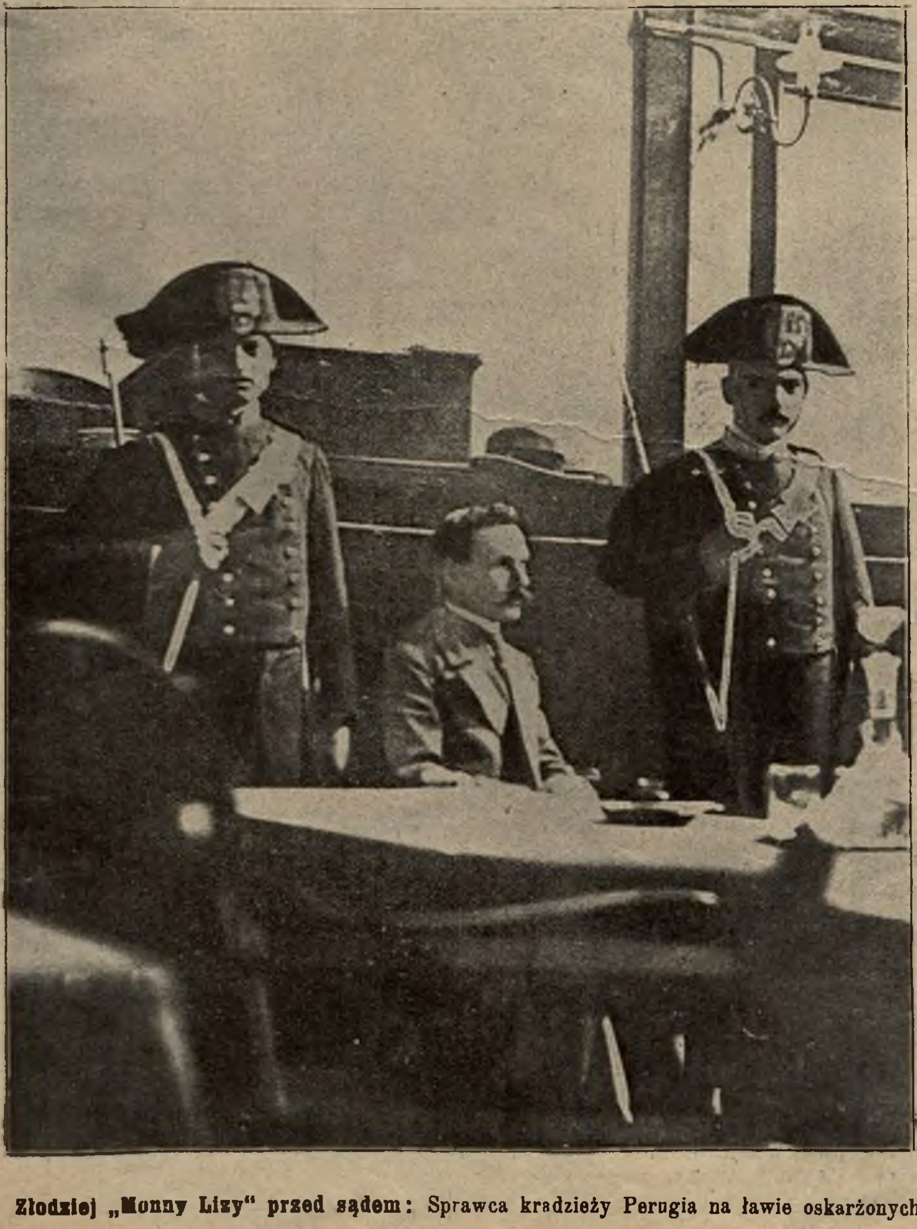
„Kwiatek“ w Turcyi.

„Okazuje się, że złe strony cywilizacyi najprędzej przenikają do krajów barbarzyńskich. Ta nowoczesna plaga miast europejskich, dobroczynny kwiatek, już i do Turcyi zdążyła przeniknąć, chociaż tyle innych lepszych wynalazków poddani sułtana nie znają“ — powiedziałby zgryźliwiec i pesymista. My jednak do nich nie należymy. Wolimy więc wierzyć, że tak samo jak u nas, miłosierdzie i chęć czynienia dobrze bliźnim, zdarły z twarzy nadobnych Turczynek zasłony i wyprowadziły je na ulice dla sprzedaży kwiatka. W każdym razie, cokolwiekbądź go spowodowało, był to krok śmiały i męska połowa mieszkańców Stambułu patrzyła na to przeważnie nie bez zgorszonego zdziwienia. To też piękne kwieciarki-kwestarki ograniczyły swe dobroczynne popisy do najbardziej „cywilizowanych“ dzielnic miasta, gdzie mieszka wielu Europejczyków, i tu miały wcale nie złe powodzenie.

Złodziej „Monny Lizy“ przed sądem.

Sensacya z „Monną Lizą“, skradzioną z paryskiego Louvre'u, została już niemal zapomniana. To też proces pana złodzieja Perugii nie wzbudził tak wielkiego zainteresowania w świecie.

Przed sądem we Florencyi tak sam Perugia, jak i jego obrońcy twierdzili to samo, co z początku, że Perugia ukradł obraz w celach patryotycznych,



Złodziej „Monny Lizy“ przed sądem: Sprawca kradzieży Perugia na ławie oskarżonych.



„Kwiatek“ w Turcyi: Turczynki w nowej roli kwestarek.



Pod znakiem konia: Nieszczęśliwy wypadek na wyścigach w Rzymie.

aby go zwrócić ojczyźnie swej włoskiej. Sąd jednak nie uwzględnił tego i skazał Perugię, łagodnie zresztą, na 1 rok i 15 dni więzienia.

Wystawa samochodowa w Warszawie.

Samochody, opanowawszy Europę zachodnią, coraz bardziej zwycięzko wkraczają już i do nas. Wyrazem tego automobilizmu jest między innemi międzynarodowa wystawa samochodowa, otwarta przed kilku dniami w Warszawie, na terenie parku Agrykola. Przedstawia się ona pięknie i okazale, w wystawie wzięły bowiem udział, obok firm krajowych, liczne firmy zagraniczne.

Zjazd w Konopiszt.

Sytuacya międzynarodowa ciągle się „układa“ i ciągle „szuka równowagi“, której — nie zgubiła, bo — nie miała. Przełożone to na zwykły język

dowódca marynarki niemieckiej Tirpitz. Oznacza to, że na zjeździe mówiono o nowych zbrojeniach, o czem się niebawem przekonamy z budżetu i podatków...

Rozdawnictwo roślin w Warszawie.

Kwiaty to uciecha oczu — zwłaszcza w wielkiem mieście, gdzie wzrok nuży jednostajność i szara



Balon-spadochron we Lwowie: Odważna pilotka opuszcza się na ziemię.

sztuczność wszystkich rzeczy. Więc też za nadzwyczaj piękną inicytatywę uznać należy ten zwyczaj, przyjęty od lat 10 przez Warsz. Tow. ogrodnicze — rozdawanie darmo roślin do hodowania w mieszkaniach. Rośliny te rozdaje się dzieciom, które, same jak kwiaty i o sercach wrażliwszych, czule się zajmują swymi kwiatowymi wychowankami.

Dowód tego najleprzy, że 200 dzieci przedstawiono do nagród za staranne pielęgnowanie danych im roślin, a 100 dzieci nagrody te w książkach treści przyrodniczej otrzymało. Ogółem w tym roku rozdzielono rośliny 2500 dzieciom, wraz z pisanemi przez fachowca p. Ciszkiewicza wskazówkami, jak je pielęgnować.

Uroczystością kierowała p. Chodecka wraz z p Schönfeldem, a stosowne przemówienie wygłosił p. Fr. Szanior wiceprezes Tow. ogrodniczego.



Pod znakiem konia: Fatalny skok por. O. Steindla, który zginął na wyścigach w Czerniowcach.

„Tir aux pigeons“ w Warszawie.

Warszawskie koło sportowe urządziło w tych dniach wiosenny konkus strzelania do gołębi. Sport ten dość bezwględny, którego ofiarą padają zwykle dziesiątki niewinnych ptaków, wypuszczanych z klatek na strzały — jest u nas mało popularny, ma jednak swych zwolenników. Ostatni konkurs dowiódł nawet, że liczba pogromców gołębich wzosła i obok pokaźnej liczby ptasich trupów przyniósł podobno „znaczne“ sukcesy sportowe, tj. z dziedziny celności strzałów.

Nasze illustracye przedstawiają uczestników konkursu i fragment z zawodów strzelniczych.





„Tir aux pigeons“ w Warszawie:
Uczestnicy konkursu ze zwycięzcą nagrody 1000 rbl. p. Wiktorem Skibniewskim (X). Zwycięzca nagrody im. Maurycego Zamoyskiego p. M. Topolnicki.

znaczy to poprostu, że każde państwo, aby więcej wymódz dla siebie, stara się okazać silniejszem niż jest i w tym celu zawiera sojusze. Jako doświadczony działacz w zakładaniu sojuszów jest znany cesarz Wilhelm, który najchętniej posługuje się w tym celu formą zjazdów osobistych z monarchami lub innemi osobami decydującemi. I w tym roku w czeskiej miejscowości Konopiszt zainaugurował zjazd z austryackim następcą tronu — w odpowiedzi na inny, odbywający się jednocześnie zjazd podobny o międzynarodowem znaczeniu. Oprócz cesarza Wilhelma i arcyksięcia był na zjeździe jeszcze

Głosy publiczne.

Z teatru świetlnego „Uciecha“. Program obecny, rozpoczynający się w sobotę dnia 13 b. m. obejmuje dwie pierwszorzędne nowości. Jedną: dramat w 3 aktach z bruku paryskiego p. t. „Dzieci ulicy“. Jest to dzieło światowej firmy francuskiej Gaumont o treści bardzo zajmującej. Występują najlepsi artyści, w roli małej cyganki, dziecka ulicy, Zuzanna Privat, znana ze znakomitej gry w komedyi „Niema już dzieci“, która cieszyła się tak wielkiem powodzeniem dzięki grze tej artystki. W roli małego gałganiarza, drugiego dziecka ulicy, występuje ulubiony Bubi.

Dalej program obejmuje oddawna zapowiadaną francuską komedyę p. t. „Hotel kolejowy“. Jest to jeden z najlepszych budzących wesołość utworów, należy do tej seryi, która przyniosła tak znakomite utwory, jak „Niema już dzieci“, „Jego pokojówka“, „Żandarm bez spodni“ i t. d. Najnowsza komedya „Hotel kolejowy“, pełną jest zabawnych niespodzianek i humorystycznych sytuacyi. Zwolennicy wykwintnego humoru w teatrze „Uciecha“, będą z tego obrazu bardzo zadowoleni.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 23.

Równanie:
Baran + **Łukasz** + Gruszecki = **Bałucki.**
Sala + **Biret** + **Nawa** = **Sabina.**

Zadanie konikowe:

Zaszumiał las, zaszumiał las
Od płaczu mojej pieśni,
Po szczytach drzew ruszył się śpiew,
Ptaszkowie łkają leśni

Zakipiał zdrój, zakipiał zdrój
Od tęskrot moich żaru
I sine mgły i srebrne łzy,
Rozbryznął w cieniach jaru.

Zadanie do przestawienia: Gdy konia kują, żaba nogę nadstawia.

Trójkąt magiczny:

A l f r e d M u s s e t
L o k a l i z a c y a
F r a n c i s z e k
R a d z i w i ł ł
E s t e t y k a
D u ń c z y k
M a l i n a
U l a n a
S t a l
S i r
E h
T

Łamigłówka:
Nora.
Arka.
Boua.
Iran.
Ezaw.
Łama.
Aron.
Noga.
York.

Zadanie do przestawienia: Już się naprawił, kto szczerze żałuje.

Bilety wizytowe: Prokurent. Inkasent Kanomer. Likwidator. Notaryusz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: S. Kowalówka Kraków, J. Łopatkiewicz Sambor, F. Frankowicz Lwów, J. Ohrenstein Stanisławów, S. Kamiński Petersburg, A. Haber Oświęcim, J. Jahoda Cieszyn, J. Lipowski Lwów, J. Wolny Warszawa, H. Maciejowska Winnica, L. Kwaśniewski Piotrków, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Częstochowa, K. Leszczyński Jasło, K. Radoszewski Tarnobrzeg, H. Obst Jasło, L. Lindenbaum Czerniowce, S. Rogalski Tarnów, M. Lisowska Sambor, S. Mazurkiewicz Lwów, D. Schwadron Stanisławów, J Wilkosz Rzeszów, H. Piątek Podwołoczyska, I. Brzostowski Krosno, M. Wędrychowska Sanok. E. Laskowski Nisko, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, S Kamocki Jasło, H. Ungar Lwów, J. Waligórski Lwów, R. Sadowski Kraków, M. Kobyłecka Stanisławów, M. Kozicka Lwów, J. Skalski Sanok, S. Lemiszewski Żółkiew, K. Armatys Uhnów, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Tarnów, M. Bróż Lwów, S. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, J. Nowacki Sniatyn, J. Darowski Petersburg, M. Sperling Wiedeń, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Krzywicki Jasło. K. Reichenberg Cieszyn, A. Bauer Lwów, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, F. Blätterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, S. Krzyżanowski Podgórze, S. Balicki Lwów, H. Radziński Jasło, W. Sołtysik Lwów, J. Pick Warszawa, J. Broda Tarnów, J. Ciszewski Jasło, J. Popiel Kamieniec, K. Gliński Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, W. Błoński Kraków, S. Sygnarska Tarnów, J. Kopczyńska Bierzanów, S. Bukowski Równo, J. Jaworski Kijów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Sanok, S. Wiewiórowski Przemyśl, S. Medyński Zakopane, A. Biliński Tarnopol, J. Krawecki Bochnia, M. Więckowska Łódź, Cz. Lipiński Zakopane, W. Raczyńska Sanok, H. Figiel Sanok, M. Domagalska Kraków, M. S. Kostecki Lwów, J. Wilczkiewicz Sambor, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, D. Sedyńska Zakopane, K. Kaim Warszawa, J. Jakubowska Kraków, W. Ostrowski Warszawa, R. Linderski Siemiechów, D. Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. K. Radomski Warszawa, S. Galiński Nowy Sącz, M. Wańkowicz Mińsk, J. Rogalski Rzeszów, W. Rachwalski Bochnia, M. Borkowska Lwów, K. Ciesielski Rzeszów, F. Horak Oświęcim.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Czarkowski, Poznań.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Pierwszy „Raid" Krakowskiego Klubu automobilowego. Zawiązany w zeszłym roku przy Związku turystycznym „Krakowski Klub automobilowy" urządza w dniach 27, 28 i 29 czerwca b. r. pierwszą jazdę klubową („Raid") w Tatry i Pieniny. Zadaniem wycieczki jest zainteresowanie szerszego ogółu publiczności, oraz władz i urzędów ruchem samochodowo-turystycznym w Galicyi i zwiedzenie gremialne, wspólnie z zaproszonymi gośćmi z poza kraju, przepięknej partyi górskiej naszych Pienin i Tatr. Wyjazd nastąpi z placu św. Ducha w sobotę dnia 27 b. m. o godz 6-stej rano przez Podgórze, Głogoczów, Myślenice, Obidowę, Nowy Targ i Zakopane do Morskiego Oka, gdzie uczestnicy spożyją w schronisku wspólny obiad. Powrót do Zakopanego o godz. 4-tej popoł. i wspólna kolacya o 9-tej wieczorem w Zakopanem. Odległość przebyta w pierwszym dniu wynosi 170 km Po przenocowaniu w Zakopanem, wyruszą wozy w drugim dniu t. j w niedzielę o godz. 7 i pół rano przez Nowy Targ i Czorsztyn do Czerwonego Klasztoru na Węgrzech, skąd nastąpi przejazd łodziami uroczą kotliną Dunajca do Szczawnicy. Popołudnie wolne dla uczestników. W poniedziałek wyjeżdża wycieczka ze Szczawnicy przez Krościenko, Stary Sącz, Nowy Sącz, Limanowę, Tymbark, Mszanę dolną, Skomielną, Lubień i Myślenice do Krakowa, gdzie odbędzie się na placu św. Ducha klasyfikacya wozów. Na zakończenie programu przewidzianą jest pogadanka o godzinie 9-tej wieczorem w Hotelu Saskim. Pierwsze przedsięwzięcie towarzyskie Krakowskiego Klubu Automobilowego budzi w kołach sportowych powszechne zainteresowanie. Przeprowadzenie organizacyi spoczywa w rękach komitetu złożonego: z ramienia Klubu z pp: Kossaka, inżyniera Wekluka, Suskiego; z ramienia Związku turyst z pp.: Judkiewicza i dra Beresa. Wycieczkę prowadzić będzie inżynier E. Wekluk. Zarówno Klub jak i Związek turystyczny dokładają wszelkich starań, aby wycieczka wypadła bez zarzutu. Starostwa, Wydziały powiatowe, zwierzchności gminne i posterunki żandarmeryi w obrębie objętym programem jazdy, uproszone zostały o wydanie zarządzeń ochronnych i pomoc przy organizacyi. Spodziewanym jest udział automobilistów z Królestwa, Poznańskiego oraz Śląska.

Zgłoszenia przyjmuje Krak. Klub Automobilowy w Związku turystycznym ul Szpitalna L. 36, do dnia 22 czerwca b. r.

Wyścigi konne w Krakowie. Prezes Towarzystwa, Jego Ekscelencya Roman Hrabia Potocki, wraz z P. T. Członkami komitetu Towarzystwa międzynarodowych wyścigów konnych zwiedzili w bieżącym tygodniu tor wyścigowy gładki i przeszkodowy, oraz szkołę skakania, wyrażając się o stanie torów z wielkiem zadowoleniem.

Roboty na placu wyścigowym około budynków i uporządkowania placów są już ukończone, a podczas rannych próbnych galopów jest już ruch ożywiony, bowiem znaczna ilość koni biorących udział w wyścigach krakowskich do stajen na plac wyścigowy już zjechała.

P. T. właścicieli koni wyścigowych zawiadamia się, że tor zwykły będzie bezpłatnie otwarty dla próbnych galopów koni od dnia 10-go do 30-go czerwca b. r. od godziny 5-tej do 9-tej rano.

Sekretaryat wyścigów konnych w Krakowie zawiadamia P. T. właścicieli koni wyścigowych, że szkoła skakania znajdująca się przy torze wyścigowym (wzdłuż dawnego koryta Rudawy) będzie P. T. właścicielom koni wyścigowych do użytku oddaną od dnia 10-go do 30-go czerwca b. r. za opłatą za cały czas 30 koron od jednego konia.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

5

„Niewidzialni“.

Jerzy Darvel obudził się w doskonałem usposobieniu. Rzecby można, że delikatna ręka snu zmiotła z jego czoła wszystkie wątpliwości i myśli niepokojące. Umysł jego, wypoczęty i świeży, gotów był do rozwiązania najtrudniejszych zagadnień naukowych i Jerzy czuł, że i on przyczynić się może jaką cegiełką do ogromnego gmachu wiedzy, budowanego przez brata i jego przyjaciół. Rozmyślając nad dogodnymi dla siebie warunkami pracy, zabezpieczonej od trosk materyalnych, dzięki wspaniałomyślności miss Alberty, czuł dla niej ogromną wdzięczność i uznanie i przysiągł sobie, że okaże się godnym jej zaufania.

W tym to stanie umysłu udał się do laboratoryum o wczesnej bardzo godzinie. Znalazł tam kapitana Wada, zajętego pracą wspólnie z Zarukem.

Jerzy zabrał się pod kierunkiem kapitana do pracy, której dzień cały oddał się bez wytchnienia z entuzyazmem.

Dnia tego upał był szalony; powietrze było duszne i przepełnione elektrycznością: trzeba było użyć wszystkich wentylatorów, aby uczynić atmosferę w laboratoryum znośniejszą.

W dniu tym w poobiednich godzinach wydarzył się najdziwniejszy fenomen, jaki dotąd nauka mogła zaobserwować.

Kapitan Wad był własnie zajęty demonstrowaniem Jerzemu jednego oryginalnego przez niego odkrycia.

— Widzi pan — mówił — tę kadź szklaną; płyn w niej znajdujący się ma tę właściwość, że dozwala nam widzieć pewne niewidzialne promienie, gdy go niemi oświetlimy, naprzykład pozwala nam doskonale dostrzedz promienie X...

Tu kapitan nagle był zmuszony przerwać swoją demonstracyę.

Zaruk, stojący dotąd w milczeniu za Jerzym Darvel, wydał przeraźliwy okrzyk grozy.

— Dzinn! dzinn! — wołał głosem zachrypłym i drżącym i ruchem szalonego przerażenia wskazywał na kadź szklaną.

Płyn w niej zawarty falował, jak gdyby za dotknięciem wiatru...

Twarz murzyna przybrała barwę popielatą i drgała nerwowym, bezwiednym kurczem.

Obecni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

Murzyn odsunął się, jak mógł najdalej od kadzi; włosy zjeżyły mu się na głowie, a oczy rozwarte szeroko, poruszały się szybko, jak gdyby miały wyskoczyć z oczodołów!

— Panie! panie! — wyszeptał zbladłemi wargami.

— Ale cóż ci jest znowu, idyoto! — zawołał zdenerwowany Ralf Pitcher. — Mówże do dyabła! Czyś oszalał?

Ale murzyn stał osłupiały, bełkocząc coś niezrozumiale.

— Wytłómacz mi, co ci się stało — rzekł Pitcher łagodniej. — Cóż cię tak przeraziło? Mówiłem ci już tyle razy, że człowiek nigdy niczego obawiać się nie powinien!

Zaruk rozpaczliwie potrząsnął głową. Nogi drżały pod nim i pomału, jak gdyby kierowany jakąś wyższą siłą, cofać się zaczął od kadzi kryształowej, błyszczącej teraz w promieniach słońca, jak ogromna gwiazda opalowa.

— Został zahypnotyzowany, na honor! — zawołał inżynier Boleński, wzruszając nerwowo ramionami.

— Cicho bądź — szepnął Ralf Pitcher, ściskając silne ramię niecierpliwego przyjaciela.

Ralf Pitcher był silnie wzruszony.

— Kto wie — rzekł, zniżając głos do szeptu — czy ten niewidomy, o tak niecodziennym organizmie, nie widział jakiejś istoty, której nasze źrenice, oślepione brutalnem światłem dnia, dostrzedz nie mogą? Często już myślałem o tem: Jeżeli są promienie X, dlaczegoby być nie miały istoty X...? istoty dla nas niewidzialne? Przypuszczenie to jest śmiałe, ale prawdopodobne...

Kapitan Wad nie słuchał już słów towarzysza. Podbiegł do aparatu optycznego, swojego wynalazku, ustawionego naprzeciw kryształowej kadzi, a który specyalnie był skonstruowany dla doświadczeń nad promieniami X. Polewa zwierciadeł, złożona z kilku warstw ruchomych, wibrowała, jak gdyby poruszona nerwowymi splotami i dokompletowana była kilkoma zasłonami, przepojonemi substancyami, wrażliwszemi na promienie słoneczne, niż najdelikatniejszy aparat fotograficzny.

— Gdyby to było możliwe! — szepnął Ralf Pitcher.

— Zaraz się o tem przekonamy — odparł kapitan głosem drżącym od wzruszenia i nagłym ruchem przycisnął guzik elektryczny.

W jednej chwili ciemność zaległa pracownię. Ciężkie filcowe zasłony nie dopuściły ani jednego promienia światła. Przyłożywszy oko do otworu w aparacie, kapitan Wad patrzał.

Ale pomimo namiętności badacza, pomimo zadowolenia, jakie odczuwał, widząc zrealizowanie najgorętszego swojego marzenia naukowego, cofnął się natychmiast z przerażeniem, wstrząśnięty dreszczem obrzydzenia i trwogi.

Ralf Pitcher, który z kolei spojrzał do aparatu, odskoczył jednym skokiem, jak gdyby ujrzał szatana.

W tej chwili zabrzmiał krystaliczny głos w ustach posągu służącego za telefon.

— To ja, Herifa.

— Czego chcesz, moje dziecko? — zapytał kapitan, usiłując głosowi nadać naturalne brzmienie. — Jesteśmy bardzo zajęci w tej chwili... bardzo zajęci...

— Pan Frymcoock pragnie pomówić z panami.

— Ale niechże on nas zostawi w spokoju — zawołał rozgniewany kapitan. — Nie mam czasu na rozmowę z nim o głupstwach! Niech przyjdzie później! Niech zaczeka! Słyszysz, Herifo! Niech przyjdzie później!

I nie czekając na odpowiedź dziewczyny, przerwał komunikacyę pospiesznie.

Podczas tej rozmowy Jerzy Darvel z kolei zbliżył się do aparatu. I to, co zobaczył, wytłómaczyło mu dostatecznie przerażenenie kapitana Wada i Ralfa Pitchera.

Z fosforyzującego płynu kadzi wyłaniał się potwór okropny i stał bez ruchu, jak nietoperz wciśnięty w głębię swojego dziennego ukrycia.

Była to masa popielata, zaledwie odcinająca się w ciemności. Oczy były szerokie bez źrenic, głowa nie miała uszów i nosa, tylko usta małe i mocno czerwone, rysowały się krwawą plamą.

Głowa ta o wypukłem, wielkiem czole, trzykroć większa od głowy ludzkiej, otoczona była dwoma płachtami brudnobiałemi, które może stanowiły skrzydła.

Powtór nie miał ciała, tylko przy końcu tej monady galaretowatej poruszał się pęk nóg, rąk lub ssawek — dokładnie tego nie było można odróżnić.

Przerażająca ta istota najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy z obecności ludzi i zapewne nie odczuwała ich istnienia. Po pierwszym instynktownym odruchu ucieczki Jerzy Darvel odważnie przyglądał się potworowi i wtedy dotrzegł już wyraźnie dwa brudne białe skrzydła, umieszczone po obu stronach czoła, zwinięte i obwisłe, przypominające wstrętną poczwarę olbrzymiego motyla, przedwcześnie wyjętego ze swojej pokrywy.

Jerzym wstrząsnął dreszcz obrzydzenia na myśl, że zapewne ta larwa obrzydliwa musnęła ociemniałego Zaruka w lasach Ain Draham, a którą wziął za dzinna.

Po chwili Ralf Pitcher zajął miejsce Darvela przy aparacie. Uczony dyszał ciężko, trawiony uczuciem szalonej radości i nadludzką odrazą: nie mógł już teraz oczów oderwać od poczwary, której widok magnetyzował go po prostu.

Po chwili uczuł jakieś nieprzyjemne uczucie, ogarniające całe jego ciało.

Więc to były te odpychające istoty, te wstrętne mikroby o demonicznych twarzach, które żyły na ziemi i w głębinach morskich, strasząc ludzi swojem niewidzialnem dotknięciem?

Uczeni, przejęci tą samą myślą, stali bez ruchu w ciemnej pracowni, oświetlonej zaledwie bladem światłem fosforyzującej kadzi szklannej. I zaczęli żałować, że dobrowolnie uchylili rąbek tajemnicy, ukrywającej takie straszne rzeczy!

Jeden tylko Boleński rozmyślał nad sposobem pochwycenia okropnego zjawiska.

Nagle zapukano dyskretnie do drzwi.

— A tam kto do dyabła? — zawołał kapitan Wad. — Ani chwili spokoju mieć tu nie można!

Zapukano powtórnie.

— Kto tam? — zapytał Ralf Pitcher.

— To pan Frymcoock — odpowiedział lękliwym głosem murzyn.

— No, to otwórz mu prędko, niech się dowiemy, czego chce od nas. Załatwię się z nim szybko.

Wydając ten rozkaz, Pitcher równocześnie przycisnął guzik elektryczny; firanki filcowe rozsunęły się, dając przejście światłu, które jasnymi potokami oblało pracownię. Wszyscy obecni zwrócili się w stronę kadzi. Powierzchnia jej teraz, gładka jak tafla lodu, promieniała tysiącami blasków.

Wszedł master Frymcoock, wytworny i elegancki, w garniturze czarnym i stanął na środku pracowni. Szeroki uśmiech rozjaśniał jego twarz melancholijnego klowna.

— Panowie — rzekł grzecznie — wybaczcie, że przychodzę zakłócać wasze poważne doświadczenia, ale czuję się w obowiązku zawiadomić panów, że miss Alberta powróci dopiero późno w nocy, a nie wieczorem, jak to oznajmiła. Otrzymałem w tej chwili telegram z Malty.

Mówiąc to, lord kuchmistrz bezwiednie posunął się w stronę kadzi i podniósłszy z uśmiechem rękę, obciążoną pierścieniami, przyglądał się grze barw kamieni, odbijającej się na gładkiej powierzchni.

— Nie przybliżaj się pan! — huknął z całej siły inżynier Boleński. — Oddal się, na miłość boską! Nie możesz wiedzieć, co tam się znajduje!

Ale ostrzeżenie przyszło za późno; ręka pana Frymcoocka została brutalnie przyciągnięta przez wstrętnego potwora i zanurzona w płynie kadzi.

Nieszczęśliwy próbował się uwolnić, z oczami powiększonemi przestrachem, wołając ochrypłym głosem o ratunek, ale ręka jego została silnie uwięzioną, a płyn po chwili zabarwił się różową pianą. Twarz jego stała się blada, potem sina, a wzrok jego wyrażał lęk graniczący z obłędem.

Po pierwszej chwili osłupienia Jerzy Darvel i Boleński podbiegli zaniepokojeni i z wielkim trudem zdołali wyrwać ofiarę z śmiertelnego uścisku.

Prawie równocześnie płyn zakotłował się silnie i z głębi kadzi wyskoczdła zaledwie dostrzegalna masa, podobna do cienia oparu dymnego, przesunęła się przez laboratoryum i znikła w górnym otworze okien w suficie.

Z błyskawiczną szybkością Zaruk skoczył i przycisnął elektryczną sprężynę zapadu.

Była to chwila ulgi dla wszystkich; z piersi Boleńskiego i Darvela wybiegło ciężkie westchnienie.

— Niema go już nareszcie — zawołał radośnie Ralf Pitcher.

— Ale popełniliśmy głupstwo — rzekł inżynier, idąc za wątkiem swojej pierwotnej myśli. — Powinniśmy go byli pochwycić. Była to jedyna może sposobność! Będziemy żałować, żeśmy jej nie wyzyskali!

— Możliwe, żeśmy utracili trochę zimną krew! — przyświadczył kapitan Wad — a pan pierwszy! Ale poco to mówić o rzeczy już straconej? Pospieszmy lepiej z pomocą temu biednemu Frymcoockowi, którego stan godny jest pożałowania.

Zbliżyli się obaj do lorda-kuchmistrza, którego już Jerzy trzeźwił jakiemiś solami i pomału przychodził on do siebie po doznanych wstrząśnieniach.

Zauważyli wtedy ze zdumieniem, że ręka jego pokrytą była drobnemi ranami czerwonemi, ciągnącemi się wzdłuż żył.

Gdyby nie pomoc przyrodników, Frymcoock byłby utracił wszystką krew, jak koń napadnięty w wodzie przez pijawki.

— Lepiej panu? — zapytał troskliwie Darvel.

— Well sir — odpowiedział kuchmistrz, wzdychając ciężko — już mi jest całkiem dobrze. Ale w każdym razie jest to zwierzę, którego nie jadłem jeszcze — dodał po chwili, zastanawiając się głęboko.

— Oh! — zaśmiał się Ralf Pitcher — skoro uczucie gastronomiczne powraca, nasz Frymcoock jest uratowany! Lękałem się przez chwilę, aby nie oszalał, ale widzę z radością, że mu nic nie będzie! Niech pan będzie spokojny, panie Frymcoock, jeżeli pochwycimy kiedy tego potwora, oddamy go do pańskiej dyspozycyi i będzie go pan mógł przyprawić, w jakim sosie pan zechce! Tylko zastrzegam, że ja go jeść nie będę!

Podczas wymiany tych słów kapitan obmył rany kuchmistrza płynem antyseptycznym i obandażował starannie rękę.

Po jego odejściu nie było już mowy o prowadzeniu dalszych doświadczeń. Wszyscy jeszcze byli pod silnem wrażeniem, jakie wywołał ten nadzwyczajny wypadek. Ale wszyscy gorzko żałowali, że nie udało się im pochwycić tego tworu, nieznanego jeszcze w faunie ziemskiej.

Badali Zaruka, ale murzyn, nieprzytomny jeszcze i ogłupiały przestrachem, nie mógł im dać żadnych logicznych objaśnień; był przekonany, że widział złego ducha, o którym śpiewają legendy wschodnie.

Kapitan Wad zaś myślał, że było coś prawdy w opowiadaniach ludowych o czarownicach, koboldach i błędnych ognikach, o tych wszystkich istotach fantastycznych, rozpłomieniających wyobraźnię ludzi naiwnych i prostych. Bo można było teraz twierdzić stanowczo, że istnieją organizmy, mające właściwości pewnych promieni świetlnych i niewidzialne dla naszego oka.

Wynikałoby z tego, że źrenice Zaruka, ochronione wrodzoną jego ślepotą przed brutalnem dotknięciem światła dziennnego, posiadały nadzwyczajną wrażliwość na pewne promienie, które zaledwie w części słabej najlepszy aparat uchwycić i utrwalić może.

I tym razem wszystkie te hypotezy naukowe poparte zostały faktem niezbitym, którego świadkami byli poważni uczeni i pozostawiającym za sobą dowód namacalny.

Katastrofa.

Siedząc na ulubionem miejscu na tarasie, Jerzy Darvel z towarzyszami prowadził rozmowę na niewyczerpany dla nich popołudniowy temat.

W gorącem ożywieniu tej rozmowy Jerzy dowiedział się o wielu odkryciach ciekawych, poczynionych przez jego przyjaciół.

— Możebyśmy powrócili do laboratoryum — zaproponował Boleński. — Powietrze staje się tu nie do zniesienia, a rozrzedzona atmosfera naszych wentylatorów orzeźwi nas cokolwiek. Jestem pewny, że wkrótce zerwie się straszna burza, bo nerwy moje drgają, jak rozstrojone struny.

— Owszem, powrócimy — odpowiedział kapitan. — Czuję i ja od pewnego czasu dziwny jakiś niepokój.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KLUB KUPIECKI W KRAKOWIE

ULICA SZEWSKA L. 20
poleca firmy swoich Członków



MAGAZYN BRONI
R. Gliniecki i Ska
W KRAKOWIE, UL. SZEWSKA 2

Poleca wszelkiego rodzaju broń myśliwską wypróbowaną z wszelką najdalej idącą gwarancyą. Wszystkie możliwe potrzeby do polowań. Kompletne wyprawy myśliwskie. Łuski do strzelb i sztućców. Ostre naboje napełnione prochem dymnym, bezdymnym i zagranicznym utrzymuje zawsze na składzie.
Zlecenia uskutecznia się odwrotną pocztą.

PIERWSZORZĘDNA CUKIERNIA i KAWIARNIA
W SUKIENNICACH
J. NOWOROLSKI, KRAKÓW
Rendez-vous przejezdnych.

LUDWIK AKSMANN
maszyny do pisania
Kraków
tylko Szewska 15
telefon 32-88.

Magazyn Nowości i strojów damskich
KONRADA ŚCIBOROWSKIEGO
KRAKÓW, UL. FLORYAŃSKA L. 13
POLECA
Szlafroczki od K 7 —, suknie etaminowe i voilowe, pruszniki, płaszcze gumowe.

B. J. BECKER, Kraków
ulica Szewska L. 14
Handel Win, Wódek, Koniaków, Rumu
i RESTAURACYA.
Poleca znakomite wina stare i młodsze, miody, likiery oraz wódki krajowe i zagraniczne. — Piwo okocimskie i bawarskie. Porter angielski.
Kuchnia doborowa pod własnym zarządem. — Bufet zaopatrzony w świeże i smaczne przekąski.
Pianino elektryczne. Lokal otwarty do godz. 1 w nocy.

Marya Prauss
Towary bławatne. — Konfekcya i bielizna damska
Kraków Rynek 7.

LUDWIK KOWALSKI
zegarmistrz i handel biżuteryi
Kraków, Sukiennice L. 18
Poleca: Zegary, zegarki, budziki, zegary pendułowe oraz wszelką biżuteryę w złocie i srebrze.

TRADE-MARK
ARBITER ELEGANTIARUM
LATEST FASHION MADE OF ENGLISH CLOTH ESPECIALLY FOR B.WIERZEJSKI CRACOW

Do nabycia wyłącznie i jedynie w Magazynie nowości
B. WIERZEJSKIEGO
Kraków A-B.

WIKTOR BROMOWICZ
Kraków, Szczepańska 1
poleca
Nowości w materyałach
GOTOWĄ KONFEKCYĘ
oraz
Doborową pracownię sukien i kostymów damskich

Ważne dla P. T. Gospodyń!



Już nadszedł transport
Aparatów i słoi do konserwowania owoców i jarzyn systemu **„WECKA"**
do firmy
W. HALSKI, KRAKÓW
ULICA SZEWSKA L. 23.
Cenniki na żądanie odwrotnie.

Bilety wizytowe i zawiadomienia ślubne
wykonuje najtaniej
SKŁAD PAPIERU I GALANTERYI
Michał Słomiany, Kraków, ul. Sławkowska 24
(Dom XX. Emerytów).
Zastępstwo zakładu litograficznego firmy: **W. Krzepowski** (dawniej **Salb**).

KSIĘGARNIA POLSKA
Skład nut, żurnali, map, atlasów, powieści, przewodników i t. d.
Sławkowska 3
(Hotel Saski).

NA SPŁATY MIESIĘCZNE!
Serwisy stołowe, szkło. Lampy stojące i wiszące. Noże, łyżki i widelce srebrne i alpakowe. **Po cenach najniższych** poleca
Wacław Lipiński, Kraków, Karmelicka 8.
Telefon 3420.

LODY Porcya **duża** 36 hal. „ **mała** 24 „ „ laska 12 „ **LODY**

Karmelki	pół	kg.	K 1·—
Pomadki	„	„	„ 2·—
Czekoladki	„	„	„ 3·—
Pierniki	„	„	„ 1·60

M. M. Urbański, Kraków
Franciszkańska L. 1.
Zamówienia od 6 kor. wysyłam opłatnie.

STANISŁAW HOF
DŁUGA 6
poleca najtaniej farby, materyały, szczotki, pendzle. Wielki wybór zabawek, perfum, mydeł i t. d. — **Wyroby własne.**

WINA OWOCOWE
POLECA
Bar Amerykański
Szewska 2.

---

4 halerze kosztuje
jednorazowe golenie aparatem „Trusty" silnie srebrzonym, w skórkowej kasetce.
Aparat i 12 ostrzy . . . K 5·20
Aparat, 6 ostrzy, lustro, pendzel i mydło . . „ 7·90
Aparat kieszonk. składany „ 4·90
wysyła dom handlowy
L. Turek, Kraków
Zwierzyniecka 11 a.

KAPELUSZE DAMSKIE
najświeższe modele
poleca najtaniej
KAROL JAROSZ
w Krakowie, Floryańska 35.

Bardzo ważne dla Pań!
Pończochy, Woalki, Kołnierze modne, Wstążki, Koronki, **Krepony. — Praktyczna nowość.** Potniki staniczkowe do prania. GORSETY PARYZKIE
poleca
Ostaszewski i Mayer
Kraków, Rynek 5.

PRACOWNIA
RUSZNIKARSKO-MECHANICZNA
z popędem elektrycznym
BOLESŁAWA GLINIECKIEGO
Kraków
ulica Karmelicka 8
uskutecznia najdokładniej wszelkie roboty w ten zakres wchodzące, **po cenach konkurencyjnych.**

G. DEKORDE Kraków Plac Szczepański
Jedyne źródło nabycia
Naczyń emaliowanych, kamiennych i glinianych
TOWARY MIESZANE. CENY BARDZO NIZKIE.
Specyalność: **Torby ceratowe.**

Najtańszy Magazyn Bielizny
Koszule męskie zefirowe . . . od K 3·50
Koszule damskie ręcznie haftowane „ „ 3·—
Majtki od K 2·—, **Skarpetki** od **50** hal.
Pończochy od **60** hal. poleca
JAN NOWAK Kraków Floryańska 14
Hotel pod „Różą".

NA WYCIECZKI i ZABAWY
CIASTA, CUKRY, HERBATNIKI POLECA
R. PIECZARKA
fabryka wyrobów cukierniczych
Kraków, Poselska 15.

BLUZKI, HALKI, BIELIZNĘ DAMSKĄ
POLECA NAJTANIEJ
KAROL JAROSZ
W KRAKOWIE, FLORYANSKA 35

Świeże kwiaty
specyalność
Bukiety ślubne
Bukiety zaręczynowe
Wiązanki
Koszyczki imieninowe
Cenniki gratis.
poleca
Największy skład kwiatów
AU PRINTEMPS
właściciel
W. TYCHANOWICZ
Kraków Szewska 7
filia
Sławkowska 3
Telefon 2292.

Zagadki do nagrody.

Logogryf literacki.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Znaleźć dzieła poniżej wyszczególnionych autorów. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiej powieściopisarki.

— — — □ — — — —
— — □ — — — — —
— — — □ — — — —
— — — — □ — — —
— — — □ — — — —
— — □ — — — — —
— — — □ — — — —
— — — — □ — — —

Autorzy: Gruszecki, Manteuffel, Dzierzkowski, Corelli, Świętochowski, Stanko, Chojecki, Sygietyński.

Zadanie królewskie.

Ułożył Cz Kozłowski, Warszawa.

na	stal	głaz	ny	trum	i
pier	siach	cięży	żal	jej	wczas
kwiat	jak	lilii	wi	ce	ciszy
ko	tła	kwi	był	krwa	ser
bie	nie	czym	jej	dnia	dziś
ta	dzie	wi	świat	pogo	dą

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz

Pomiędzy podane samogłoski wstawić odpowiednie spółgłoski, by powstały znane polskie przysłowia:

1) i e e o y a o y.
2) u a u e, a i e u e
3) a i a a i a o i e.

Łamigłówka.

Ułożył Jaś, kawaler z Morgensternówki.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwę zbliżającej się pory.

— ora
— mos
— oga
— ran
— apa
— gor
— awa
— rka.

Szarada.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa

Droga Mamo!

W Włocławku bardzo gorąco, słońce zaczyna *drugie*. Siadam wówczas wśród cienia rozłożystych *pierwsze z początkiem drugiego* i rozmyślam, jaki to będzie upał, gdy nastanie *cały*.

Za przesłane życzenia serdecznie dziękuję i całuję rączki kochanym Rodzicom.

Wdzięczna córka
Mania.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

D z i e w c z ę z i e m i, d n i e g a p y, ż o ł ą d ź, d z i e z, m ę t y, w i d z.

Równanie.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego dzieła.

$$\frac{m}{3} + \frac{n}{3} + \frac{o}{5} + \frac{p}{3} = x$$

$$\frac{r}{3} + \frac{s}{4} + \frac{t}{4} + \frac{u}{3} = y$$

Znaczenie wyrazów: m) Rodzaj sera. n) Grzyb trujący o) Zakład naukowy. p) Komedyopisarz polski. r) Część powierzchni koła s) Inaczej uwolnienie od czegoś. t) Wódz tebański. u) Przedmiot używany w krawieczczyźnie.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

KANDYD MIRON E. WETZT

KANUT KAJUS RUFUS N JOLONCZ

ANNA SYROPEK

LAMPERT RAZAN

ADAM POLYT

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Maryi Iwanowskiej:* **U źródeł.** Powieść.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.. M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.